Nr 30 Ogólnego zbioru Nr 2,594 24 lipca 1909 roku

Tygodnik Illustrowany

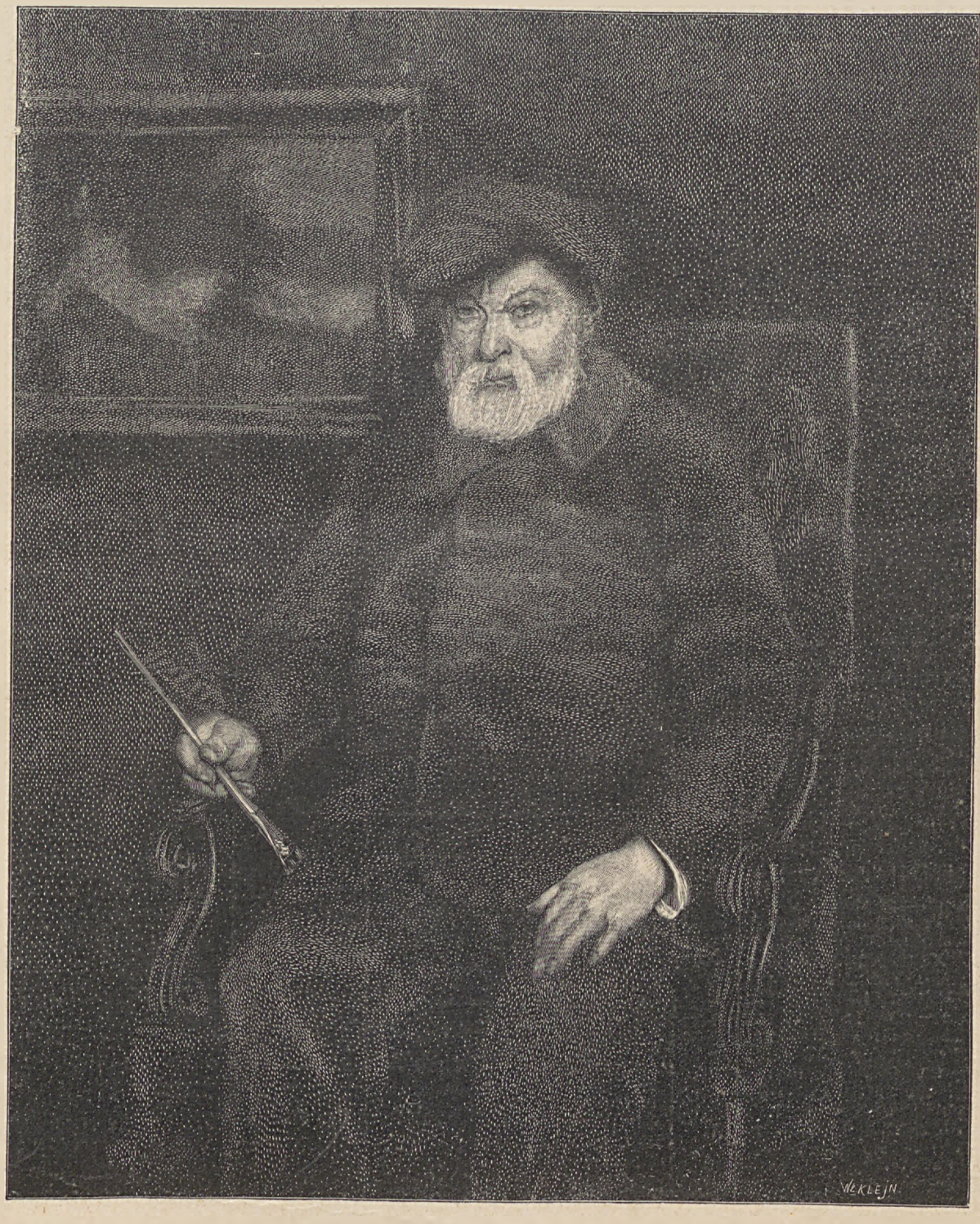

PORTRET Z Salonu Paryskiego TADEUSZ STYKA

6662

JÓZEF WEYSSENHOFF:

ROZMOWY LITERACKIE

O LAURACH WYSPIAŃSKIEGO.

I.

Winienem czytelnikom komentarz do mojej rozmowy z Anatolem. Uprzedzam, że nie będzie to studyum o Wyspiańskim, tylko rozmyślanie krytyczne o jego wziętości u nas. Chciałbym, przez bliższe wniknięcie w dzieła nowego mistrza, sprawdzić, jakie pierwiastki jego twórczości zyskują mu tak szerokie powodzenie; jakie w nim i w nas struny pokrewne zabrzmiały tak głośno i oddźwięcznie?

Bo nie tylko paru zapędliwych krytyków, w rodzaju Anatola, stara się wykazać na świeżo odkrytym geniuszu swą współgenialność; nie tylko teatralne „snoby" poczuwają się do obowiązkowego zachwytu nad odrodzeniem polskiego dramatu. Ale wymowni rzecznicy wykładają już publicznie osobny przedmiot z dziedziny literatury, zwany Wyspiańskim,—bierniejsza zaś część publiczności dziwi się, ulega, wreszcie kaja się, że żyła dotychczas w niewiadomości, czem jest nowożytna poezya i zastosowana do niej nowa estetyka.

— Niema stałej estetyki! — strofować mnie będą przeciwnicy.—Każde niemal pokolenie odczuwa piękno po swojemu, a z sumy chyba dzieł danej epoki wyciągnąć można nieliczne prawidła, jakiemi się rządzili twórcy tego okresu. I te nawet prawidła nie obowiązują geniuszów, którzy chodzą swojemi, nieudeptanemi przez tradycyę drogami.

Są jednak niezłomne prawa estetyczne, uszanowane przez wszystkich twórców, którzy swoje pokolenie przetrwali. Geniusz musi się objawić w zakresie tych praw kardynalnych; inaczej istniałby tylko dla siebie, nie dla ludzkości, któraby go nie zrozumiała.

Chybabyśmy stali—w literaturze—na takim przełomie, że wszystko do wczorajszego dnia zapadło w dziedzinę archeologii, a od dzisiaj zaczyna się nowa literatura, mająca u nas swe wcielenie w Wyspiańskim. Gdyby nie mieć innych pojęć o sztuce pisarskiej, jak te, któremi nas częstują bezwzględni apologeci krakowskiego poety, możnaby dojść do tak rozpaczliwego wniosku.

Piszę więc o Wyspiańskim z powodu jego apologetów. Zadanie—przyznam się—przykre z niejednego względu. Najprzód wiem, że się wystawię na pociski wielu przeciwników; te wytrzymam dla sprawy, która mi się wydaje pożyteczną. Inna strona mego przedsięwzięcia jest jeszcze przykrzejsza: trzeba ostudzić zapał, niekiedy może i szczery; trzeba zracyonalizować kult szeroko już rozpowszechniony, aby się przyczynić do przywrócenia ładu i równowagi we współczesnych pojęciach o literaturze. A ofiarą tych usiłowań paść musi nie spekulant żaden, nie fałszywy prorok, nie histryon—lecz szczery twórca, dobry obywatel, serdeczny syn ojczyzny, który miał to nieszczęście, że został potwornie przechwalony.

Wynika z tego założenia, że muszę głównie wskazać wady Wyspiańskiego, jedne pominięte przez chwalców, drugie przenominowane na cnoty lub genialne wynalazki.

Nasze pojęcia estetyczne popadły ostatnimi czasy w tę krańcowość, że w sztuce szukamy wyłącznie jej siły emocyonalnej, doraźnych wstrząśnień i zadziwień, łatwych, zmysłowych rozkoszy, pomijając trudniejsze wrażenia skombinowane z odkryciami w dziedzinie intelektualnej. Rozmnożyli się melomani i teatromani, zażywający teatru i muzyki jak fizycznych niemal przyjemności. Pokolenie, zmęczone wyczerpującą pracą techniczną i polityką, poszukuje w sztuce raczej odpoczynku odpowiedniego stanowi umysłów roztargnionych i trawionych gorączką. Cieszy się więc wziętością muzyka zmysłowa, a w teatrze widowisko łatwe, muzykalnie dekoracyjne, nie obowiązujące ani autora, ani widza do ścisłego myślenia.

W powodzeniu Stanisława Wyspiańskiego znaczny jest udział tych potrzeb i nałogów publiczności.

Publiczność, jako całość, jest wszechwładna i ostatecznie decydująca, nawet w sprawach estetyki. Są w niej także wszyscy, którzy tworzą, i wszyscy, dla których tworzyć warto. Ale publiczność składa się w mniejszej części z narodu, a w większej—z tłumu. W danej chwili tłum, porwany przez wicher instynktowy lub przez agitatorów, przemaga, pociąga za sobą ogół—i panują wtedy—na krótko—upodobania tłumu.

Chociaż Wyspiański z pewnością nie tworzył dla przypodobania się tłumowi, sama natura jego talentu zawiera w sobie pierwiastki poszukiwane przez dzisiejszego pospolitego konsumenta uciech scenicznych.

Teatralny jest jako miłośnik zadziwiających efektów, jako reżyser i dekorator, wreszcie jako pisarz, myślący samymi prawie obrazami. Ta właściwość, która mogłaby być jego wielką zaletą, gdyby obrazy były po literacku stworzone (gdyż dramat nie jest dotychczas, a może i nigdy nie będzie pantomimą), to malarskie myślenie w wielu wypadkach prowadzi Wyspiańskiego do trywialnych efektów. Przerażała mnie zawsze swą zuchwałą dezinwolturą scena z „Legionu", w której Mickiewiczowi, stojącemu w rzymskim kościele św. Piotra, każe autor pomyśleć o pogańskiej Litwie. Okazya do pięknego, pełnego antytez monologu?——Nie. Na gzymsy wewnętrzne kopuły św. Piotra wjeżdża Mendog, król litewski, konno, w rynsztunku... Jest to oczywiście surogat pantomimowy zamiast pokonania trudności literackiej. A pomysłów podobnych przytoczyćby można setki nawet w dramatach przeznaczonych na scenę. Osoby i obrazy, luźno związane z pomysłem i z akcyą, zjawiają się obcesowo, metodą starożytnej szopki—jakieś ryczałtowe uosobienia pojęć, przez to tylko oryginalne, że niewiadomo nigdy, co tam i kiedy wyskoczy z wyobraźni autora na scenę: Wernyhora w krakowskiem weselu, czy ożywione posągi bóstw greckich pod warszawskim Belwederem, czy sam autor, jako reżyser, wmiesza się do akcyi i będzie ustawiał, przemawiając wierszem, szereg zaledwie prozą ożywionych masek ?? Ciągle, w dramacie i tragedyi, reminiscencye z *komedyi* Szekspira, tylko bez jego filozofii, bez humoru, bez smaku i taktu scenicznego. I nierzadko ton dramatu degeneruje w nieumyślną, kosztem pisarza — śmieszność.

Na ogół jednak ten anachroniczno-barokowy kalejdoskop bawi oko, bawi ucho niespodziankami, jest zmysłowem „używaniem" dla leniwego widza; a gdy jeszcze od czasu do czasu ten widz zrozumie jakiś werdykt o przeszłości lub przyszłości narodu, albo wyłowi z powodzi rymowanej prozy parę wierszy niezgorszych,—uspokaja swe artystyczne sumienie wnioskiem, że jednak poił się sztuką w ciągu wieczoru. I trafnie streszcza swe wrażenie w lapidarnej recenzyi, którą sto razy słyszałem jednobrzmiącą z ust ludzi najrozmaitszych:

— Jest w tem coś... jest w tem coś...

— Ale co to jest, razem wzięte??

Uzdolnienie artysty-malarza jest innej zupełnie natury, niż zdolność obrazowania poety-dramaturga. Chociaż mogą się spotkać w jednej osobie, jak się spotkały w Wyspiańskim, te dwa talenty nie wypływają jeden z drugiego, mogą nawet jeden drugiemu przeszkadzać.

Pewien mój znajomy miał dwie fabryki: żelaza i makaronu. Obie nie prosperowały. Podobno dlatego, że wyrabiał żelazo, jak makaron, a makaron, jak żelazo... Ta przypowieść ma niejakie zastosowanie, przynajmniej do Wyspiańskiego - dramaturga.

Dużo bliższą literatury, niż talent malarski, jest muzykalność autora. Muzyka słowa jest bowiem integralną zaletą poezyi, a nawet pięknej prozy. Muzyka właściwa i stosowana do wiersza—operują obie dźwiękiem, są nietylko pokrewne analogicznie, lecz genetycznie.

Ale znowu rozróżnić należy twórczość muzyka od muzykalności poety. Pierwszy wyraża swe uczucia przez kombinacye dźwięków, drugi łączy w słowie dobitność filozoficzną ze śpiewnością. Tekst dramatów Wyspiańskiego jest zwykle śpiewny wokalnie, ale bez czaru muzycznego, właściwego poezyi. Wiersze jego są niby pozostawione w stanie brulionów; są białe, często szare; pozbawione nawet tej rytmiki niesylabicznej, którą posiada nasz lud i wielu poetów nowożytnych. Zato Wyspiański myśli raczej jak muzyk, niż jak poeta: nie osacza myśli idealnie dobranemi słowami, lecz myśl, jaka mu przyjdzie, rozcieńcza w dźwiękach. Szuka przedewszystkiem *nowości dźwięcznej*—i dla tej poświęca myślowe zalety literackiego słowa. Nie trudno go schwytać na podobnych przypadkach.

Stańczyk w „Weselu" oddaje dziennikarzowi „kaduceus polski". W słynnym tym pomyśle jest dla mnie widoczny lapsus, wynikający z leniwego pośpiechu myśli przy tworzeniu. Stańczyk trzyma w ręku godło swe zawodowe, które autor zrazu nazywa poprostu „laską błazeńską". Ale to nazwa ani zadziwiająca, ani nowa. Więc jakby tu na prędce przenominować ten instrument?... Kto, gdzie, kiedy dzierżył coś podobnego?... Jest! Merkury nosił kaduceusz. Wprawdzie ten kij uskrzydlony, owity wężami Gorgony, symbolizuje coś wręcz przeciwnego berłu błazeńskiemu: rzutkość, lotność, przemysł——ale jak to pięknie brzmieć będzie: kaduceusz—i do tego polski! Prawdziwa pokusa rzucenia jeszcze jednej, nie bardzo zrozumiałej, ale gromowo brzmiącej nauki narodowi, który tak lubi być wymownie fukany przez swoich:

I czytamy w „Weselu":

Oto naści twoje *wiosło*,
błądzący w odmętów powodzi,
masz tu *kaduceus polski*,
mąć nim wodę, mąć,
. . . . . Rządź! . . . i t. d.

W następnej scenie dziennikarz zwierza się poecie:

A przeszedł tu koło mnie cień
. . . i ostawił mi *laseczkę kaduczą*.

Więc jakże? laska błazeńska, wiosło, kaduceusz, czy laseczka kaducza?... Błąka się poprostu poeta w asocyacyach raczej powierzchownych i dźwięcznych, niż myślowych.

Nazwałem sposób tworzenia Wyspiańskiego „leniwym". Wyraz ten powróci jeszcze w znaczeniu, które bliżej na tem miejscu określę. Są dwa rodzaje lenistwa myśli. Jedno jest apatyą, nieruchomością, raczej nieruchliwością; to nie może nic z siebie wydać, ani sądu, ani obrazu, ani wyrazu; w literaturze też prawie się nie spotyka. Ale jest inne lenistwo myśli, polegające na pośpiechu tworzenia lub na zadowoleniu z siebie samego. Wszystko, co do głowy rozmarzonej przyjdzie, co się w formę dziwną ułoży, nie jest jeszcze dla wielkiego mistrza gotowe do druku. Gorące podszepty muzy bywają niedostatecznie sformułowane; trzeba je koniecznie sprawdzać w kwasie samokrytyki, w świetle trzeźwego poranka. To robota, praca, ostatni, nieprzyjemny wysiłek twórczości. Od niego dają sobie zbyt często dyspensę poeci nowożytni, a najczęściej Wyspiański.

Tego rodzaju lenistwo myśli jest jeszcze jedną spójnią, wiążącą Wyspiańskiego z upodobaniami zmęczonej, sybarytycznej publiczności. Z lenistwa autora rodzi się migotliwość słów niespodziewanych, lekkość myśli rozpierzchłej na zamiary dziwacznie zmienne, wśród sensacyi dźwiękowo-obrazowych,—jakiś sen haftowany dekoracyjnie, od czasu do czasu coś znaczący. Z lenistwa widza powstaje pociąg do tej sztuki, nie wymagającej natężonego myślenia, bawiącej wyobraźnię przez nowość, przez algebraiczność znaków dźwięcznych i widomych. I oba instynkty—lenistwo autora i lenistwo widza—godzą się z sobą, zlewają w rodzaj magnetycznej sympatyi. Po ostatniej scenie „Wesela" niema zwykle oklasków; widzowie pozostają przez chwilę bez ruchu na swych miejscach, usypiają snem magnetycznym. A gdy wreszcie rozchodzą się, milczą jeszcze i chwieją głowami, jak oczadzeni zapachem. Może to będzie w przyszłości działaniem sztuki na umysły ludzkie?

Tymczasem jednak znamy sztukę, która nie wprowadza w osłupienie, lecz pobudza do łez dobrych, do mądrego uśmiechu, do zapału, do spotęgowanego czucia i myślenia. I sztuki tej nie potrzeba szukać w starej wyłącznie literaturze; mamy jej dużo i w nowej, o której później pomówię.

WIDMA — LEONARD STROYNOWSKI

ZOFIA DĘBICKA:

ZAZDROSNA NIMFA.

Kochał mnie faun-kozodój, którego nad wodą
Poznałam w czas upalny, a moją urodą
Podcięty, niby trzcina, odtąd w każdy ranek
Przynosił mi skradziony w polu mleka dzbanek,
Zręcznie zwabiając krowy do blizkiego brodu...
Czasem, chichocząc cicho, przynosił plastr miodu,
A gdy została jeno woskowina pusta,
Przechylając w tył głowę — pił me słodkie usta.
I tak żyliśmy długo, śród leśnej gęstwiny,
Rozigrani, jak dzieci, bez żadnej przyczyny
Napełniając las cały rozgłośnym chichotem...
Że faun mógł być niewierny—nie myślałam o tem,
Wierząc, że miłość jego jest jak owoc rzadki.
Aż wreszcie zdradę całą odkryły sąsiadki,
Pokazując mi drogę, w piasku wydeptaną,
Którą od swej kochanki faun wracał co rano.
Odtąd, żądłem zazdrości okrutnej kąsana,
Ważyłam, jaką zemstę obmyślić na Pana.
Więc, narwawszy nad wodą ostrych kolców głogu,
Nocą ścieżkę do fauna wymościłam progu...
I codzień, za krzakami jałowcu ukryta,
Śmiałam się, jak oglądał skrwawione kopyta.

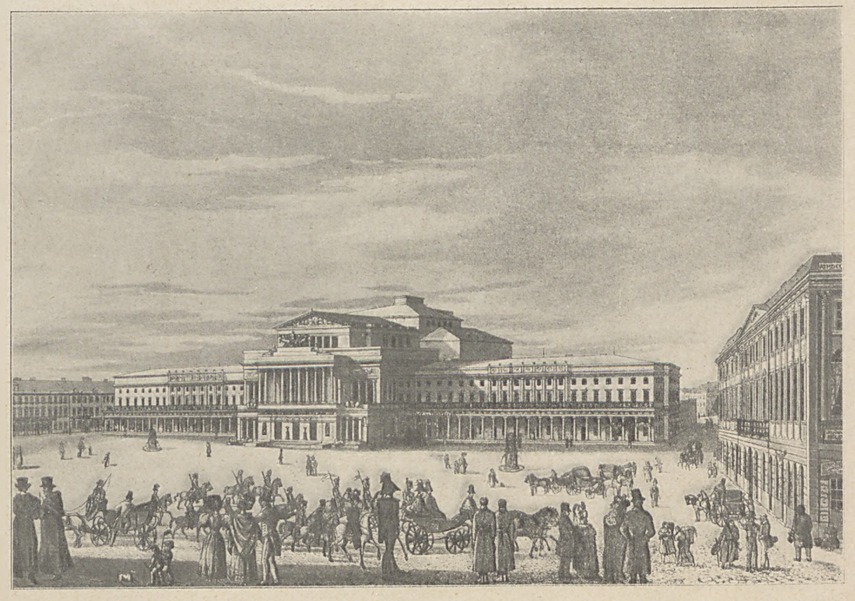

PLAC TEATRALNY Z TEATREM WIELKIM W WARSZAWIE — Rys. i ryt. F. DIETRICH

WIKTOR GOMULICKI:

DZIELNICE WARSZAWY.

WSTĘP.

Ktoś, zdala od Warszawy mieszkający, wyobraża sobie, że ona jest od brzegu do brzegu, od rogatki, którą się wjeżdża, do rogatki, którą się wyjeżdża—jedna i ta sama. Jaki błąd! Warszawa co kilkaset kroków wygląda inaczej, posiada inną zewnętrzność i innego ducha. Ściśle mówiąc, jest to raczej amalgamat wielu miast, niż miasto jednolite.

Te części odrębne, choć nie samoistne, nazywamy dzielnicami.

Trzeba bystrego i wrażliwego spostrzegacza, aby dojrzał różnicę między dzielnicą staromiejską a nowomiejską, lecz nawet najmniej bystry i najmniej wrażliwy zauważy, jak krańcowo różni się dzielnica staromiejska od wolskiej lub nalewkowska od powązkowskiej.

W śródmieściu niema dwóch ulic, ani dwóch placów zupełnie do siebie podobnych. Spostrzegacze wyjątkowo subtelni odczuwają nawet różnicę między jedną a drugą stroną ulicy, wiedząc naprzykład, że ta jest wesoła, światowa, rozbawiona, tamta zaś pracowita, skromna i melancholijna...

Ale nie chodzi nam tymczasem o tak nikłe subtelności. Zamierzamy dać charakterystykę tylko głównych dzielnic naszego miasta, posiadających znamiona wyraźnie swoiste.

Na początek odtwarzamy, w postaci wczorajszej i dzisiejszej:

PLAC TEATRALNY.

I. Trochę historyi: Marywil, Bibliopola J. Królewskiej Mości, Pociejów.

Plac, który nazywamy dziś Teatralnym, a który ludzie w uniformach chętnie przerabiają na „Ratuszowy", jeszcze w połowie zeszłego wieku nie nosił ani tego, ani tamtego miana. Nazywano go wprost: Marywil.

Uparta pamięć Warszawian przechowywała nazwę, choć rzeczy, której ona służyła, oddawna już nie było. Marywil (właściwie *Marie-ville*), olbrzymi bazar, wzniesiony w tem miejscu przy końcu XVII wieku przez królową „Marysieńkę", przed rokiem 1830 padł pod oskardami mularskimi.

Czem był, w krótkich słowach opowiedzieć trudno. O wiele łatwiej dałoby się określić, czem nie był. W tym potwornym budynku, huczącym od rana do nocy, a nierzadko i w nocy jeszcze (na co uskarżały się Panny Kanoniczki), jak ul na wiosnę, miałeś wszystko: od najświeższej książki francuskiej do... flaków „gospodarskich", od kaplicy i klasztorku do... domu rozpusty.

Prócz licznych sklepów, mieszczących się pod wielkim, w półkole zatoczonym portykiem, były tam: kawiarnie, księgarnie, traktyernie, szulernie, mieszkania prywatne, pokoje dla przyjezdnych, kantory wekslarskie, teatry maryonetek, budy akrobatów i kuglarzy, warsztaty rzemieślnicze, izby balwierskie, pracownie krawców i modniarek i t. p. Nie brakło nawet pięknego ogrodu.

Marysieńka nie mogła była wystawić właściwszego dla siebie pomnika. W dziele odbiła się cała dusza autorki.

Ogromne to było gmaszysko. Historyograf Warszawy z wieku XVIII nazywa Marywil „budowlą w całem mieście najprzestronniejszą i najwięcej w sobie pomieścić mogącą".

Potworna budowla prawie cały plac wypełniała. Pomiędzy nią a pałacem książąt Jabłonowskich, z którego powstał później Ratusz główny, było miejsce tylko na małą uliczkę.

Z Marywilem związało się na zawsze nazwisko Michała Grella, który tam utrzymywał księgarnię „pod znakiem Poetów". Spolszczony ten cudzoziemiec oddał przybranej ojczyźnie wielkie i trwałe przysługi. On pierwszy otworzył w Warszawie księgarnię, po dzisiejszemu wyrażając się: „nakładową, asortymentową i komisową"; on też zdumiewającą na owe czasy ilością i różnorodnością wydawnictw ożywił w kraju ruch umysłowy.

Czy jednak „komisarz nadworny i bibliopola Jego Królewskiej Mości" samemi tylko księgami kupczył? Niestety, w katalogu, dołączonym do wydanych przezeń „Awantur Idziego Błassa", czytam, że sprzedawał także: „proszek do zębów osobliwej cnoty", „anemiczną wodę raniową", „proszek purgancowy", którego „paczek" kosztował złoty dwadzieścia dwa, wreszcie „prawdziwy tabak Maroko, likier pomarańczowy, zwierciadła różne i porcelany saskie rozmaite"... Widocznie uniwersalność (po polsku: groch z kapustą), właściwa Marysieńce i jej bazarowi, przesiąknęła i do ruchliwego umysłu bibliopola?

Cokolwiekbądź, zasłużył sobie Grell na wdzięczność społeczeństwa. Z uznaniem zwłaszcza wspominać go będą zawsze literaci i bibliofile. On to, między innemi, naprawił sławę Warszawie, gdy na miejsce jej dawnych, ohydnych Elertowskich druków, zaczął wydawać książki ładne, miłe, pięknie zdobione, które zwłaszcza w skromnej, a powabnej oprawie *alla rustica*, były i są dotąd rozkoszą znawców i miłośników.

Przeznaczenie chciało, żeby ta dzielnica stała się wieżą Babel, zarówno pod względem różnojęzyczności, jak zamętu. W Marywilu gościli od początku, obok kupców polskich, francuscy, niemieccy, ormiańscy, tureccy—nie dopuszczano tu tylko Żydów W samym końcu

wieku XVIII-go żydostwo usadowiło się tłumnie w najbliższem sąsiedztwie Marywilu: w starym, napół zrujnowanym pałacu, dawniej Pociejów, później Uruskich.

Nazwano to nowe targowisko Pociejowem.

Pociejów był jakby karykaturą Marywilu; był Marywilem, doprowadzonym *ad absurdum*. Ale Pociejów w walce z Marywilem posiadał ważny atut: było tam wszystko dwa razy gorsze, lecz cztery razy tańsze. I stała się rzecz nieprzewidziana: Żydzi pociejowscy wzrośli w taką potęgę, że, nie mogąc już pomieścić się u siebie, wtargnęli twardą, nieodpartą nawałą do Marywilu i wyparowali stamtąd wszystkie inne nacye.

Skończyło się to smutno, bo—gwałtowną *judenhecą*, po której Żydzi, poszwankowani na zdrowiu, towarze i garderobie, wynieśli się do nowej siedziby (na Marszałkowską, gdzie dziś dom Hersego). Wynosząc się, zabrali ze sobą nazwisko starej szlacheckiej rodziny Pociejów, a i dziś pod tą firmą na nowem, trzeciem z rzędu miejscu, handlują.

II. Teatr.—„Górka."—„Dziurka".

Znałem w młodości człowieka, pamiętającego jeszcze czasy, gdy poza Marywilem, gdzie dziś rozpiera się wspaniały gmach Teatru Wielkiego, było pustkowie, pełne dołów, śmieci i błota. Nie zapuszczał się tam nikt w porze nocnej, a nawet wieczornej, gdyż—„obdzierano".

Tu wspomnę, że wcześniej jeszcze lękali się Warszawianie przechodzić przez Bramę Krakowską, opowiadano bowiem, że czają się tam złoczyńcy, narzucający przechodniom na twarz maski smołowe. A znów w czasach, bliższych nam, lękiem przejmował Warszawianina plac Ewangelicki, gdzie pod osłoną nocy miano dusić nieostrożnych zarzucanemi z tyłu pętlami...

Czemże są te fantastyczne powiastki w porównaniu z rzeczywistością, na którą dziś patrzymy!

Ów znajomy, mój pierwszy mistrz fortepianu, eks-klarynecista kapeli ułańskiej wojsk polskich Królestwa Kongresowego, a niegdyś, w latach chłopięcych, „fajfer, czyli „piszczek" przy księciu Józefie—mógł był oglądać wspomniane pustkowie przed Rewolucyą, ściślej zaś mówiąc: przed rokiem 1825.

W ostatniej dacie rozpoczęto już w tem miejscu budowę Teatru Wielkiego.

Teatr wybudowano według planu Włocha Corazziego, w którym poczynił pewne zmiany Polak Kozubowski. Niezliczona ilość filarów, którymi ten gmach jest przeładowany, pochodzi od Włocha. Corazzi „wyfilarował" w swoim czasie całą Warszawę...

Na akwatyncie F. Dietricha, przedstawiającej Teatr Wielki zaraz po ukończeniu, widzimy szczegół ciekawy, któregośmy nigdy w naturze nie oglądali. Jest nim wspaniała kwadryga, czoło gmachu zdobiąca, która przerywa szczęśliwie monotonię filarową, całą zaś budowlę upiększa i ożywia. Co się z tym ornamentem stało? Że znajdował się w pierwotnym planie teatru, wątpieniu nie ulega; dotąd widzieć można na wysokości kilkopiętrowej przygotowaną doń, a pustą, więc szpetną podstawę.

Ale główna waga tej świątyni Talii i Melpomeny nie w architekturze się mieści! Ośmdziesięcioletnia kronika teatrów Wielkiego i Rozmaitości błyszczy całą konstelacyą gwiazd pierwszej wielkości. Czcigodne cienie, których zastęp powiększyła świeżo śmierć Heleny Modrzejewskiej, unoszą się nad nią, błogosławiąc jej, choć może coraz rzadziej zadowolone. Nazwiska: Królikowskiego, Żółkowskiego, Komorowskiego, Panczykowskiego, Rychtera, a z kobiet: Halpertowej, Bakałowiczowej, Rakiewiczowej, Popielówny, wskazują najwyższy i dotąd niedosiężony rozkwit naszej sceny. Tym wszystkim mistrzom i mistrzyniom należą się w omawianym gmachu—posągi. Sława ich podtrzymuje go silniej, niż filary signora Corazziego.

WIDOK PLACU PRZED MARYWILEM I GŁÓWNEGO RATUSZA W WARSZAWIE.

Opera i balet miały tu również swe gwiazdy i słońca.

Na wspomnianej rycinie Dietricha dochowała się nazwa „Kawiarni teatralnej", *Cafè des Thèâtres*, której miejsce zajmuje od wielu już lat cukiernia. Dawnej nazwy już ona nie nosi, była wszakże zawsze i jest dotąd przedewszystkiem — teatralną.

Był też czas, gdy miała prawo i do tytułu „literackiej".

Oprócz letniej, popularnej werandy i pokojów czołowych, przez różnorodną publiczność odwiedzanych, posiada ta cukiernia dwa specyalne pomieszczenia, znane dobrze starszym Warszawianom, jako „Górka" i „Dziurka".

Górka to główna arena i jakby akademia mistrzów i aferzystów bilardowych. W „Dziurce" około roku 1880 gromadziło się codziennie na poobiednią czarną kawę liczne grono literatów, dziennikarzy, artystów, a czasem i osobistości wybitnych ze zgoła innych sfer społecznych.

Piszący to, choć odbywał dopiero nowicyat literacki, został łaskawie dopuszczony do tego kółka, które miało charakter prywatny, poniekąd korporacyjny, i intruzom wstępu do siebie broniło.

„Górka" mieściła się nad cukiernią, w antresoli nizkiej, ciemnej i tak zawsze zadymionej, że gracze, zwykle bez surdutów, w gęstej chmurze dymu wyglądali jak widma.

„Dziurka" była również ciemna i nie mogła być inną, gdyż jedyne jej okno wychodziło na wewnętrzny, sklepiony pasaż teatralny. Światło miała piwniczne, i z tego powodu kilku płonących „dziobów" gazowych nigdy tam nie gaszono. Zresztą, nie było to miejsce dla gości, lecz poprostu skład przyrządów cukierniczych i rodzaj ciemnego korytarza, wiodącego do słodyczotwórczych pracowni.

Tę norę upodobali sobie warszawscy luminarze, dlatego może, aby o nich rzeczono: *lux in tenebris*...

Miała wszakże „Dziurka" i urok romantyczny. Osoby, siedzące przy długim stole, których twarze oświecał od dołu gaz, wielkiemi umbrami nakryty, wyglądały, jak w półmaskach. Kapeluszy, a zimą czapek futrzanych, nikt nie zdejmował. Zapamiętałem w tem oświetleniu Mirona. W szubie z niebieskich lisów, w nizkiej z tegoż futra czapeczce, ze swym cudzoziemskim profilem, z wielkiemi, podpuchłemi, *à l'amande*, oczami, z falą długich, równo przyciętych włosów, podobny był do trubadura czy minnezingera, którego łaskawa nań kasztelanka strojem bogatym odziała.

Szkoda, że nie znalazł się w tem gronie mistrz światłocienia, któryby portrety wybitnych jego członków choćby na kartonie *à deux crayons* utrwalił. Byłaby to galerya w swoim rodzaju jedyna a piękna.

Do najczęstszych gości „Dziurki" należeli: Edward Lubowski, Bogumił Aspis, Kazimierz Łuniewski, Kazimierz Filipowski (dwaj ostatni z „Kuryera Warszawskiego"), Gustaw Gebethner, Kazimierz Zalewski, Bronisław Komierowski. Z artystów dramatycznych: Wincenty Rapacki (ojciec), Rychter, Stolpe, Chomiński, Ostrowski, Tatarkiewicz; z młodszych Prażmowski i Szober. Sztuki plastyczne wyobrażali tylko: Karol Miller, oraz amator-rysownik Paprocki, który szkicował ohydne karykatury, a po powrocie z Ameryki (dokąd jeździł z Modrzejewską) skończył w domu obłąkanych. Trafiali się też i goście egzotyczni, jak naprzykład: chirurg Korzeniowski, syn powieściopisarza, finansista Teplitz, szewc (właściwie fabrykant obuwia mechanicznego), Lubliński i t. p.

Prawda, nad wszystko droższa, każe mi wyznać, że owe sympozyony młodemu adeptowi literatury nic w zysku nie przynosiły, prócz czczej chluby, że przebywał w kompanii ludzi mniej lub więcej znanych i głośnych. Mało się tam zajmowano właściwą sztuką i literaturą; nierównie więcej plotkami. Główną wszakże treść posiedzeń wypełniały przeróżne *jovialitates*, suto zaprawne pieprzem tureckim. Tych można się tam było nasłuchać zdumiewająco wiele i w gatunku, zgodziwszy się na rodzaj, przednim. Ktoby był owe firki spisywał, stworzyłby nowy „Ogród nieplewiony" Wacława Potockiego...

MUZYKA.

Był człowiek, któregoby można nazwać geniuszem rozkosznego cierpienia. Wszystko, cokolwiek miał przed zmysłami, nie wydawało mu się dość godnem, ażeby się temu oddać i żyć tem, a rzeczy nieistniejących i możliwych się wyrzec i zamknąć oczy na przyszłość.

Nikt nie czuł tak rzeczy pięknych rozkoszy, jak on, ale jednocześnie nie chciał się tego uczucia pozbyć i zaspokoić je posięściem rzeczy niedoskonałych, bo istniejących.

Aby te rzeczy posiąść, należałoby mu znieczulić się na ich niedoskonałość, oślepnąć w swojem wszechwidzeniu.

Bezmiar tych walk wewnętrznych człowiek ów dał poznać ludziom za pośrednictwem melodyi. Stworzył muzykę.

W muzyce zamknął wszystkie możliwości piękna, wszystkie wizye cudne a przelotne i nieuchwytne, wszystkie pragnienia, których niepodobna uciszyć. W muzyce tej wibrował ból tytaniczny, doprowadzony do stanu rozkoszy.

Audytoryum, słuchając tej muzyki, mówiło sobie: „Ach, jak ten twórca cierpiał, jak ja jestem szczęśliwe, że nic nie zmusza mnie do takiego cierpienia! Mam wzrok krótki, więc nie widzę dołów i rozpadlin życia; mam słuch tępy, więc nie rażą mnie jego dysonanse; mam węch nieczuły, więc znoszę nieczystość powietrza. Wszystko znoszę: jestem tragarzem życia. Tak, o tak, wiele musiał cierpieć ten człowiek z oczami ostrowidza, ze słuchem słyszącym, jak trawa rośnie... Tak, to nadzwyczajne uzdolnienie to źródło męczarni. O Boże, jakże jesteśmy ci wdzięczni, żeś inaczej nas stworzył: nie do rozkosznego cierpienia, jeno do cierpliwej rozkoszy!"

Tak mówiło audytoryum, kiedy się koncert skończył i kiedy czas było pójść na kolacyę.

JAN LEMAŃSKI.

ADAM MICKIEWICZ.

U kolebki geniuszu.

Odnalezione niedawno Archiwum Filomatów stanowi jedną z najcelniejszych zdobyczy nauki naszej w zakresie historyi literatury z ostatnich lat. I to nie tylko dlatego, że daje nam poznać dokładnie to czyste, szlachetne grono „jednością silnych, rozumnych szałem" młodzieńców, ale i z tego również powodu, że zachował się w niem cały szereg nieznanych, a najwcześniejszych utworów Mickiewicza, wierszem i prozą.

Zanim archiwum to, które przez 80 lat z górą ukrywało się bezpiecznie w rodzinie sekretarza Filomatów, Onufrego Pietraszkiewicza, zostanie w całości ogłoszone drukiem staraniem Akademii Umiejętności, profesor wszechnicy lwowskiej, dr. Józef Kallenbach, wyjął z niego niezmiernie ciekawą wiązankę szczegółów, dotyczących pierwocin twórczości Adama *).

*) *Józef Kallenbach.* O nieznanych utworach Adama Mickiewicza (1817 — 1820), we Lwowie, nakładem Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza, 1909.

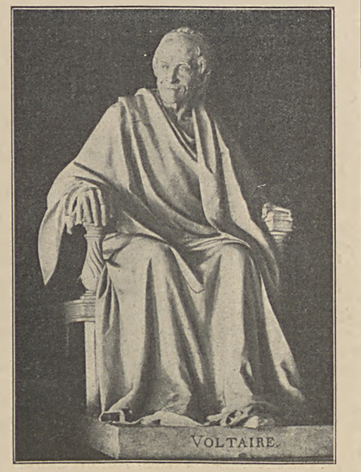

VOLTAIRE.

I oto dowiadujemy się stąd rzeczy dziwnych, niemal nieprawdopodobnych. Pierwsze utwory wierszem Mickiewicza powstały pod wpływem — Woltera, którego wolnomyślność i krytyka duchowieństwa odpowiadały ówczesnemu nastrojowi grona filomatycznego. „Gallomania", pilne wczytywanie się w płody ducha francuskiego (Wolter, Florian, Delille, Lafontaine), poprzedziła u Mickiewicza „germanomanię" i „brytanomanię".

Więc poemacik „Mieszko" (osoby główne: Mieszko, książę na Trokach i Nowogródku, stary rycerz Poraj, prototyp Rymwida, i mężna dziewica Zyla, poprzedniczka Żywili, córki Tuhana ze „Switezi" i Grażyny) jest przeróbką krótkiej opowieści Woltera p. t. „L'éducation d'un prince". Więc powiastka wierszem „Pani Aniela" to częścią tłómaczenie, częścią parafraza utworu wierszowanego Woltera p. n. „Gertrude ou l'éducation d'une fille". Więc poemat „Darczanka" to przekład (częściowy) „Dziewicy Orleańskiej" („La pucelle d'Orléans") Woltera. Więc wreszcie i napisana w rok po poprzednich, w 1818 r., pierwsza pieśń utworu poetyckiego p. t. „Kartofla, poemko we 4-ch pieśniach" (nie ukończone),

FRYDERYK SCHILLER.

zdradza również wyraźne ślady oddziaływania potężnego duchem filozofa z Farney.

Obszerna teka filomatów przechowała nam całe mnóstwo rozpraw, streszczeń, wniosków, sprawozdań, a także wierszy humorystycznych, okolicznościowych, imieninowych np., nawet improwizacyi Mickiewicza. Onufremu np. tak poeta śpiewa:

Onufry, cały Polaku,
Znam, jaki ci tan do smaku!
Szabelkę bosą pochwycę,
Chwycę i czapeczkę z Baru,
Bekieszę, strojną w petlice
Dwukamiennego ciężaru i t. d.

O balladach, o romantyzmie za czasów pobytu poety w uniwersytecie, nie słychać nic zgoła.

Dopiero w Kownie rozpoczyna się „germanomania": Mickiewicz ulega wpływowi innego geniusza ludzkości, Schillera. Ale studyów klasycznych nie porzuca: przekłada Horacego i Owidyusza, pisze w dalszym ciągu rozpoczętą jeszcze w Wilnie tragedyę: „Demostenes" (nie ukończona, zaginęła), ale jednocześnie czyta „Wertera", „Fausta" i „Waleryę" pani Krüdener, tłómaczy przepysznym wierszem „Rękawiczkę" Schillera i — posyła przyjaciołom do Wilna pierwsze ballady: „To lubię" (przeznaczone dla jakiejś nieznanej nam bliżej Joasi, czyli Johalki) w grudniu 1819 r., początek „Tukaja" (wiosna 1820), „Marylli kurhanek" (listopad 1820), wreszcie „Odę do młodości" (nazwaną pierwotnie „hymnem" — w grudniu 1820), którą Malewski nazwał, i słusznie, „chrzestną córką Schillera".

W miesiąc później, w styczniu 1821 r., filomaci otrzymują nową przesyłkę z Kowna: przekład jednej z ód Pindara, a razem z nim — balladę „Romantyczność", pierwsze i gromkie hasło nowego kierunku poezyi...

Tak w ciągu lat czterech wolteryanin, żartujący z księży i świętych, przeobraził się w romantyka, jawnie przeciwstawiającego się pokoleniu Śniadeckich, Koźmianów, Osińskich.

H. G.

JAN PIETRZYCKI:

Z ANAKREONTA.

Wiesz, gdybyś była kochanką poety,
Tobyś posiadła skarb szczęścia największy...
On weźmie słowa, jak farby z palety,
I piękność twoją w poezyę upiększy —

Świat twą dziewczęcą zadziwi urodą,
Na sercu twórcze położy ci ręce,
Byś żyła w jego miłosnej piosence
Na wieki czystą i cudną i młodą!

LILIANA:

LIST.

List ten do ciebie przez noc całą piszę,
Trudniej mi z tobą rozstać się, niż z życiem.
Teraz tak cicho... mącę tylko ciszę
Serca rozgłośnem, rozszlochanem biciem...

Już sobie pójdę... bo żyć nie umiałam,
Kochałam ciebie, jak się kocha Boga...
Często śmiertelna duszę rwała trwoga,
Choć serce łkało — oczami się śmiałam...

Często — żal duszę szarpał na kawały,
Choć twarz pogodna była i wesoła,
Nie mogłeś czytać z pobladłego czoła,
Bo wtedy ciebie usta całowały...

A noce długie, pełne bólu noce...
Od łez twarz mokra i oczy spalone
Biegły do ciebie, w twoją biegły stronę,
W nieprzeniknionej tęsknoty pomroce...

A te dni długie, dni jesienne, szare,
Gdy niepotrzebna się czuję nikomu...
Dni, które kroplą przelewają czarę
I w sercu szepcą, jak w umarłym domu...

Chciałabym tylko w tej ostatniej dobie
Zmęczoną głowę na twej piersi złożyć,
I już nie płakać więcej, ni się trwożyć
I cicho usnąć na zawsze przy tobie...

Chciałabym jeszcze, aby twoje ręce
Zmęczone moje przymknęły powieki,
W niewysłowionej umierając męce,
Pragnę twój obraz wziąć z sobą na wieki!...

Chciałabym jeszcze, konając, ustami
Do twojej ręki przylgnąć i całować...
Za wszystko, wszystko tobie podziękować,
Nim wzrok się zamgli śmiertelnemi łzami...

WŁ. ST. REYMONT:

Z ZIEMI CHEŁMSKIEJ

WRAŻENIA I NOTATKI.

Na drodze, z obu stron obudowanej domami, było pełno kałuż, przedświątecznego rwetesu i psów, które mnie przeprowadzały zajadłem szczekaniem. Przed cerkwią, przerobioną z kościoła, stał strażnik, przyglądający mi się tak uważnie, że mimowoli zaciąłem konia do pośpiechu. Zauważyłem też, że z wielu domów wyjeżdżano w pole z pługami a bronami na wozach, co wydało mi się dosyć dziwnem, gdyż grunta mieli nizkie i jeszcze wszędzie po brózdach siwiały stojące wody. Pod jakimś domem, na kupie bali siedziało paru chłopów, i kiedym ich wymijał, podnieśli się, rzucili mi „Pochwalony" i pociągnęli za mną. Wieś ciągnęła się ze dwie wiorsty, i kiedym się wreszcie znalazł na końcu i zacząłem się rozglądać

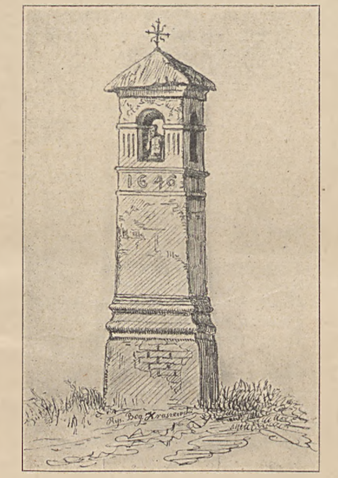

Figura z r. 1646 w Opolu, pow. Włodawski.
Ze zbiorów Z. Glogera.

za ostatnią chałupą, jeden z chłopów, idących za bryczką, powiedział półgłosem:

— Strażnik idzie za panem! Trzeba skręcić na prawo, przejechać koło chałupy, a zawrócić za budynkami do stodoły! — I przeszedł, nie zatrzymując się ani chwili.

Zjechałem na bok. Wązka dróżka, obsadzona gęsto wierzbiną, wiodła obok wielkiego domu, stojącego w takim gąszczu drzew, iż ledwie majaczyły bielone ściany i poszycia dachów.

Obejrzałem się nieznacznie: strażnik przyczaił się na skręcie, pilnie mnie z poza drzew obserwując, a chłopi maszerowali gęsiego ku lasom niedalekim.

Podjechałem bliżej, wypatrując już z pewną niecierpliwością jakiegobądź wjazdu. Ale cały dom wydał mi się jakby opuszczony, okna miał zasłonięte słomianemi matami, drzwi zawarte i bramę w płocie zamkniętą na kłódkę, a chociaż bardzo głośno popędzałem konia i trzaskałem z bata, nikt się nie pokazywał, nawet pies nie zaszczekał. Aż dopiero, kiedy skręciłem za stodołę, otwarły się naraz jakieś wrota i, skorom w nie wjechał, zatrzasnęły się natychmiast, zaś stary, siwy chłop, który mi otwierał, rzekł dobrotliwie:

— Konia można postawić pod szopą. — I poszedł, nie troszcząc się o mnie więcej.

Stało już tam kilka tęgich mierzynków. Postawiłem przy nich swojego, dałem mu obroku i, dalibóg, nie wiedziałem, co ze sobą zrobić, gdyż podwórze, jak to dosyć często zdarza się na Podlasiu, było obudowane w czworobok, jak forteca, wszystkie wyjścia pozamykane na głucho i nigdzie ani żywego ducha.

Na szczęście nie zapomnieli o mnie, wkrótce bowiem zjawiła się jakaś kobieta, zapraszając mnie do chałupy. Poszedłem z ochotą. W izbie było prawie ciemno, zasłonięte okna przesączały bardzo mało światła, ale w czerwonawych brzaskach komina dojrzałem kilkanaście osób, siedzących pod ścianami. Nikt mnie jednak nie powitał, jakby nie zauważyli mojego wejścia, tylko coś ciszej zaszeptali między sobą i poczułem, że mnie okrążają badawcze, nieufne spojrzenia. Próbowałem zawiązać rozmowę. Odpowiadali bardzo niechętnie, zbywająco. A kiedy zacząłem dość natarczywie rozpytywać się o misyę, odpowiedział mi któryś niecierpliwie:

— Jak przyjdzie pora, to wiadomo będzie.

Dopiero kobieta, widząc moje odosobnienie, objaśniła ich, kto jestem.

Wyciągnęły się do mnie twarde dłonie, ktoś dorzucił gałęzi na komin, światło buchnęło na całą izbę, a ja mogłem się przyjrzeć zebranym. Nikogo jednak nie znałem osobiście, ale dobrze znałem ten typ bohaterski, te surowe a pełne dobroci twarze, te oczy nieulękłe i te męczeńskie głowy „opornych".

— Chyba obcy tutaj-by nie trafił! — powiedziałem, witając się z każdym z osobna.

— Ale zawsze trzeba ostrożnie. Zły człowiek, jak smród, wszędzie się wciśnie.

— Trzeba się nieraz strzedz własnego cienia.

— A to ciężko się uchronić! Mało to „duszołapów" węszy za każdym opornym!

— Parę dni temu wyniuchali Michała Klimiuka z Wisznicy.

— Co się stało? — odezwały się strwożone głosy.

— A wzięli go! Bo to, panie, za ślub katolicki! — zwrócił się do mnie. — Brał go jeszcze jesienią w Krakowie. Po powrocie, ona, że to pochodziła z drugiej gminy, zgodziła się do męża niby to za służącą, i żyli sobie, jak Pan Bóg przykazał. Aż tu którejś nocy strażnicy przycapnęli ich razem, przetrzęśli całą chałupę, że nawet poszycia pozdzierali z dachów, i znaleźli ślubną metrykę! Co się im przytem zaraz dostało, to jeden Bóg wie. Ją związali, jak barana, i popędzili do gminy oddać ojcu, a jego powieźli do powiatu. A teraz każą mu drugi ślub brać w cerkwi!

— Chyba się na to nie zgodzi — wtrąciłem.

— To z twardego gatunku człowiek. Matkę jego tak nawracali z unii, aż umarła, ojciec siedzi do dzisiaj gdzieś na Syberyi. To oporny z opornych. Wiedzą o tem dobrze, i słono zapłaci za swój ślub i przeróżnych bied się nasmakuje.

Rozgadali się i zwolna, prawie mimowoli, spokojnie i bez skarg, bez krzyków i jęku, jęli się wypowiadać przede mną ze swoich zwykłych, codziennych trosk; ze zwykłych, codziennych, systematycznych znęcań się nad nimi; z kar, płaconych za wszystko: za ochrzczenie dziecka i za nieochrzczenie, za pogrzeby odprawiane nocą, ukradkiem, za śluby i spowiedzie, za samo wejście do kościołów; z ciągłych udręczeń, prześladowań, wędrówek po sądach, komisyach i więzieniach; z wiecznych a daremnych poszukiwań sprawiedliwości; z tych nieskończonych nocy, spędzanych we łzach i z tych dni wiecznego lęku, zgryzoty i cierpienia.

Znałem przecież ich życie, ale, słuchając tych cichych, monotonnie smutnych opowieści, pełnych nieustającej walki, nieznanych bohaterstw, niezachwianej wiary i bezgranicznego poświęcenia — zdawało mi się, że gromada pierwszych Chrześcijan z czasów Dyoklecyana opowiada mi swoje krwawe, wstrząsające dzieje...

Ale tamci umierali tylko za wiarę, a ci giną i za ojczyznę...

I każdy z nich tak żył, każdy tak cierpiał i każdy tak samo walczył przez całe życie.

A przecież ten bój ciągnął się długie, długie lata i bez przerw ni miłosierdzia.

Całe wsie poznikały z powierzchni ziemi, poginęły całe rody, całe pokolenia dawały wszystką krew i wszystek żywot, ale pozostali nie ustąpili, nie zabłagali o litość, a zapomniani, wyszydzani, biedni, pogardzani, w ponurej grozie opuszczenia walczyli dalej, bez wytchnienia, z jednakiem wciąż męstwem, nieulękli jednako i jednako niezwyciężeni.

Siedziałem jakby zmartwiały; płacz sączył się z tych opowiadań, dymiły krwawe opary i cały dom zdawał się napełniać szlochaniem, gdy ktoś się odezwał głośno:

Chata we wsi Kużance nad Bugiem. Ze zbiorów Z. Glogera.

— Aby tylko nie było gorzej! Bo ciężko, strasznie ciężko...

— Przetrzymaliśmy tyle czasu, to przetrzymamy, dopokąd się Panu Jezusowi spodoba.

— A może się odmieni! Powiadają, że po wojnie z Japonem nastaną lepsze czasy.

Pogadywali, snując nieśmiałe, lękliwe nadzieje. Rozmowa wkrótce przeszła na wojnę. Zaczęli się mnie rozpytywać o szczegóły tak usilnie, że musiałem opowiadać nieomal o każdej większej bitwie. Słuchali z niezmiernem skupieniem, posępne twarze zaczęły się ożywiać i promienieć uśmiechami dziwnej radości, ale w najgorętszym toku opowiadania ktoś mi przerwał:

— Ot i kara boska na opamiętanie!

Naraz jakaś zasłuchana kobieta wybuchnęła spazmatycznym płaczem, wyznając wśród szlochań i jęków, że jej syn zginął na wojnie.

Pomilkli, zwieszając smutnie głowy, twarze pokurczyły się boleśnie, a w niejednem oku zabłysły łzy, gdyż prawie każdy miał kogoś blizkiego w szeregach walczących. Dopiero jakiś starzec z różańcem na szyi przerwał milczenie i, klękając przed obrazami, rzekł uroczyście:

— Należy się im szczery pacierz, bo nie za swoją umierają.

Przyklęknęli wszyscy i zaszemrały gorące szepty modlitwy.

A ledwie co się podnieśli z klęczek, ktoś wszedł do izby i zawołał:

— Zbierać się! Pora już w drogę!

Naciągnąłem burkę pośpiesznie, gdy przystąpił do mnie ten chłop z różańcem na szyi i, patrząc mi w oczy, powiedział z naciskiem:

— Pan chce z nami na misyę, a tam się może zdarzyć Bóg wie co...

Obejrzałem się po izbie. Było pełno. Wpatrywali się we mnie nieprzeniknionemi oczami.

— Pojadę z wami, gotów jestem na wszystko!—powiedziałem krótko.

Nikt się już nie odezwał, ściskali mi rękę, zabierali z kąta baty i wychodzili.

Noc była na świecie i chłodnawy wiatr pociągał z pól, gdyśmy wyjechali za stodołę, zmierzając prosto ku borom, czerniejącym na horyzoncie, niby opadła nizko chmura. Jechałem na drugiego. Przede mną, na pierwszym wozie, siedziało trzech chłopów, a za nami musiał ciągnąć spory szereg wozów, bom nie mógł dojrzeć końca.

Noc była bardzo ciemna, chmury przysłaniały niebo, brał lekki przymrozek, gdyż błoto chrupało pod kołami. Jechaliśmy wolno i w głębokiem milczeniu. Gdzieniegdzie, we wsiach zatopionych w ciemnościach, przebłyskiwały światełka, czasami wiatr przynosił naszczekiwanie psów, jakieś dalekie echa turkotów, a niekiedy parskały konie. Wjechaliśmy wreszcie na szosę i, nie żałując bata, ruszyliśmy z kopyta, aby się tylko dostać do lasu, który wyrastał przed nami coraz bliżej.

Głębokie, zarośnięte krzakami rowy ciągnęły się z obu stron drogi.

(DCN)

Władysław Mierzwiński.

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE.

Choć głos jego umilkł od lat kilkunastu, rozgłos imienia brzmiał ciągle sławą „Króla tenorów", zdobytą na szerokim świecie.

Przed ćwierćwiekiem, otoczony uwielbieniem, przyjmowany z niedającym się opisać entuzyazmem, był Władysław Mierzwiński ulubieńcem publiczności: kwiaty, wawrzyny i... złoto sypały się do jego stóp... Artysta szedł po świecie, jak tryumfator, uśmiechnięty, dumny, czarujący wspaniałą postacią i wyglądem prawdziwie królewskim i majestatycznym. Podbijał wszystkich, gdziekolwiek się ukazał, porywał tłumy, wiódł je za sobą, przykute do swego rydwanu. Kto był świadkiem tego olbrzymiego powodzenia, jakiem się Mierzwiński cieszył, kto uczestniczył w owacyach, jakie urządzano dla wyjątkowego tenora—nie zapomni nigdy owych silnych, żywiołowych wrażeń.

Powodzenie artysty huczało, jak burza, pociągało tysiące osób, które biegły na występy Mierzwińskiego z jednakowym zapałem zarówno w Warszawie, jak w Paryżu, Wiedniu, czy Londynie. Był tenorem bohaterskim i jego kreacye sceniczne miały imponujący wyraz na scenie. Mierzwiński był świetnym Raulem w „Hugonotach", Arnoldem w „Wilhelmie Tellu", był porywającym „Trubadurem", „Janem z Leydy"—wzniecał ogień zapału w słuchaczach, elektryzował ich potęgą i pięknością brzmienia swego głosu.

WŁADYSŁAW MIERZWIŃSKI.

Niemniejsze wrażenie wywierał na estradzie. Publiczność rozstać się z artystą nie chciała. Wytrzymały organ mógł sobie pozwalać na *bisy*, którymi też Mierzwiński szafował może zbyt hojnie, co wpłynęło niewątpliwie ujemnie na śpiewaka i spowodowało za wczesną utratę głosu.

Szkoda to niepowetowana. Mógł długo jeszcze śpiewać, gdyby był troskliwszy o siebie.

Rodzinna Warszawa, gdzie się Mierzwiński urodził w 1850 r., przyjmowała swego syna-trubadura z gorącem wylaniem, z uczuciem przywiązania najserdeczniejszego. Był dobrym synem swojej matki, kochał Warszawę i stawał zawsze do apelu, gdy chodziło o otarcie łez niedoli.

Znany był ze swej uczynności. Ilekroć zachodziła potrzeba urządzenia wielkiego koncertu dobroczynnego, na który liczono, iż ma przynieść kilka tysięcy rubli na dobroczynność, udawano się do Mierzwińskiego. Telegram wzywał artystę w imię obowiązku obywatelskiego: Mierzwiński, jeżeli tylko mógł, z końca świata na wezwanie ruszał i do Warszawy przybywał.

Niezapomniane są dotąd słynne koncerty studenckie, dawane co roku w salach redutowych na rzecz niezamożnej młodzieży.

Organizatorem, duszą tych koncertów był zawsze zasłużony kompozytor, twórca „Mazepy", Adam Minchejmer. Dzielny ten artysta i dyrektor umiał zawsze przemówić do serca Mierzwińskiego, który nie odmawiał mu nigdy.

Wystarczało jedno słówko Minchejmera, aby „Władek" przybył, a już nadchodziła depesza: „Najchętniej".

Co to były za koncerty! Nigdy już takich Warszawa nie słyszała. Pamiętam, między innemi, koncert studencki, dany w 1886 r. Wiecie, kto wziął w nim udział?—długi, długi szereg artystów: Mierzwiński, Modrzejewska, Lüdowa, Marcello, Żółkowski, Królikowski, Barcewicz, Michałowski, Seideman, Wisnowska, Czaki, Szymanowski, orkiestra operowa i kierujący tą falangą Minchejmer.

Wtedy Mierzwiński siedmkroć powtarzał „Sycylianę" z „Roberta Dyabła", Modrzejewska mówiła bajki Mickiewicza, Żółkowski z Lüdową grał scenę z „Przyjaciół", Marcello deklamowała „Hagarę na puszczy", Królikowski mówił „Dzwony" z akompaniamentem Michałowskiego!..

Wszystko zniknęło, jak sen jaki złoty...

I pochowaliśmy świeżo dwie gwiazdy wielkie, spadłe z horyzontu sztuki polskiej. Mierzwiński zmarł dnia 14 lipca, w Paryżu, na obcej ziemi, samotny i opuszczony, Modrzejewska miała pogrzeb uroczysty w Krakowie.

Ale oboje są godni pamięci naszej, bo kochali ziemię ojczystą i sławę jej imienia nieśli po świecie.

A. DOBROWOLSKI.

WSPOMNIENIE.

Z EROTYKÓW.

Pani!
Znów mamy maj nad głową,
Znów się świetlana snuje przędź,
A w sercu nutą minorową
Do dawnych wspomnień wzbiera chęć..
Pani! ten nowy maj nad głową
To dawnych wspomnień złota przędź!

Pamięta pani?...

Sad wiśniowy,
Pełen rozkwitłych białych drzew...
Szliśmy... Poranek był majowy,
Woń ziemi, kwiatów, ptaków śpiew...
Pamięta pani.. Sad wiśniowy?
Szkoda nam, szkoda białych drzew!

Szliśmy... Pamiętam... Dwa motyle
Na rozkwiecone padły bzy
I trzepotały w wonnym pyle,
Jak symbol szczęścia słodkich dni...
Pamięta pani dwa motyle
I te pojące wonią bzy?...

Zerwałaś wtedy kiść zwieszoną...
Poniosłaś do ust... Szczęsny kwiat!
A miałaś taką twarz spłonioną,
Jak zorza, kiedy budzi świat!
Zerwałaś wtedy kiść zwieszoną...
Mam dotąd, pani! mam ten kwiat!

I szliśmy dalej rozmarzeni,
A z nami tylko ten maj nasz!
Bzy... dwa motyle... pęk zieleni...
Słońce nam czarem biło w twarz...
I szliśmy dalej rozmarzeni...
Maj był na ziemi, ten maj nasz!

Ach, pani! Znowu maj nad głową,
Przędź się świetlana snuje znów...
A w serce nutą minorową
Tyle prześnionych wraca snów...
Pani! znów mamy maj nad głową—
Zatońmy myślą... w kiściach bzów!

(El).

LUDWIK STASIAK:

Święta Anna.

NIEZNANA RZEŹBA WITA STWOSZA W CIESZYNIE.

Szczęśliwy pomysł tworzenia muzeów dyecezyalnych wydał piękne rezultaty. Galicyjski Tarnów posiada w swych murach dzieła sztuki, które mogłyby być ozdobą każdej stolicy, arcydzieła, którychby się nie powstydziło brytyjskie muzeum. W ślad za Krakowem, za Tarnowem poszedł Cieszyn. W tamtejszym wikaryacie biskupim gromadzi się wszystko, co ma wartość artystyczną, co o wartość artystyczną posądzonem być może. Ani dziwić się, ani za złe brać nie można, że usunięte z kościołów rzeźby, obrazy gromadzi się tam bez krytyki, że obok rzeczy wybitnych są tam dzieła mierne lub słabe. Bo pierwszym obowiązkiem jest zebrać artystyczny materyał, rzeczą zaś artysty i historyka sztuki będzie uporządkować i oznaczyć zgromadzone dzieła.

Z końcem grudnia 1908 r. zwiedzałem muzeum w Cieszynie, wraz ze zwierzchnikiem tamtejszego polskiego gimnazyum, p. Wiktorem Schmidtem. Wśród gromady starych rzeźb, ułomków starych ołtarzy znaleźliśmy niepokaźny na pierwszy rzut oka kompleks rzeźbionego, zczerniałego drzewa. Znajdowało się ono w stanie bardzo opłakanym, bynajmniej jednak nie z winy zarządu muzeum. Owszem. Kierownikowi tegoż muzeum należy wyrazić uznanie, że rzecz przechował nienaruszoną, obawiając się, aby niepowołane ręce restauracyą dzieła nie uszkodziły i nie zrujnowały. Przedsięwzięliśmy uwolnienie i oczyszczenie rzeźby z grubej warstwy błota i kurzu. Miękki pędzel usunął warstwy wiekowego osadu, z głębi draperyi wyrzucał pleśń, która głębokie fałdy całkowicie zakrywała. Pierwsza głowa oswobodzona z warstw kurzu przekonała nas, że mamy do czynienia z niepospolitem dziełem sztuki. Twarz św. Joachima, tak podobna do tegoż świętego na stwoszowskim ołtarzu w Bambergu, tak podobna do tegoż świętego na berlińskiem, stwoszowskiem „Zdjęciu z krzyża", wzbudziła we mnie podejrzenie, czy nie mamy do czynienia z dłutem i dziełem Wita Stwosza. Podczas kilkogodzinnej pracy nadzieja, że to utwór krakowskiego arcymistrza, nietylko nie słabła, ale rosła. Z pod kurzu wychodziły znane typy Stwosza, draperye Stwosza, faktura jego, cięcie jego—w końcu nadzieja moja w głęboką wiarę i pewność się zmieniła.

Przekonałem się, że Madonnie brak prawej ręki ze złączonego z tąż ręką tła, na którem jest wsparta prawica św. Józefa. Poszukiwania nasze tej części rzeźby zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem. Kawałek rzeźby, porzucony wśród nagromadzonych snycerskich fragmentów, znalazł się i złączony został z całością. Natomiast niepodobna było znaleźć prawej ręki Dzieciątka Jezus, ani postaci św. Józefa. Czytelnik, spojrzawszy na reprodukcyę, zauważy ten brak z prawej strony: istnieje tam ręka św. Józefa, postaci zaś samej niema. Poza tem rzeźba jest w zupełnie dobrym stanie. Przyczerniałe starością lipowe drzewo jest zupełnie zdrowe. Przetrwa ono wieki. Natomiast powłoka rzeźby, jej dekoracya malarska i pozłotnicza, jest w bardzo opłakanym stanie. Kredowy grunt z wielu miejsc opadł, ze szczytów rzeźby starty został aż do drzewa. Płaszcz św. Joachima utrzymał dobrze warstwę złota, na reszcie rzeźby śladu złoceń prawie niemasz. Najlepiej co do polichromii zachowała się twarz proroka z lewej strony. Zabarwienie twarzy dochowało się żywe, a szczegół ten jest z tego powodu ważnym, że to jedna z rzadkich głów, na których do dziś dnia utrzymała się stwoszowska, własnoręczna polichromia. Świadczy, ona jak polichromował swe rzeźby Stwosz: czerstwa, ciemna cera świętego, zakreślenie brwi i rzęs przekonywają nas, że artysta, który tę rzeźbę barwił, był także wybornym malarzem. Zresztą zniszczoną powierzchnię rzeźby trzeba będzie poddać wzorowej restauracyi i rozumnej polichromii. Artysta, który to wykona, musi skorzystać ze wszystkich reszt lazury, które się do dziś dnia zachowały.

ŚWIĘTA ANNA. Rzeźba Wita Stwosza w Cieszynie.

Sądzę, że dowodzenie autorstwa Stwosza jest tu niepotrzebnem. Dość się przypatrzyć podanym przez nas reprodukcyom, aby znaleźć wielkie nazwisko autora tej rzeźby. Wspomnieliśmy już o analogiach, jakie ma święty Joachim; przypomnijmy sobie stwoszowskie półfigury z krakowskiego, floryańskiego ołtarza, a znajdziemy na rzeźbie cieszyńskiej rodzonych tychże półfigur braci. Rodzeni bracia tych głów to prorocy z krakowskiego, maryackiego ołtarza, to dekoracyjne figury z tegoż ołtarza. Wykonała ich i cieszyńską rzeźbę jedna i ta sama ręka. Inne typy, ale ta sama faktura, inny model, ale ten sam rzeźbiarz. Gwara europejskiej pracowni malarskiej zna dobrze termin: „wandykowski format" (figura w trzech czwartych naturalnej wielkości); w tejże samej gwarze zapanuje kiedyś „stwoszowski format"—jedna czwarta naturalnej wielkości. Ten format, tę wielkość, ten sam ulubiony przez Stwosza wymiar mają przepyszne typy floryańskiego ołtarza, postacie z predelli maryackiej, dekoracyjne figury maryackiego ołtarza, prorocy rzeźby cieszyńskiej, apostołowie predelli w Schwabachu. Uderzająco podobną jest głowa N. Panny do tejże głowy w maryackim ołtarzu: tenże sam typ, tenże sam profil, toż samo wypukłe czoło, taż sama kaskada włosów, która na ramiona spada.

Cieszyńska rzeźba posiada pierwszorzędne artystyczne zalety, nawet w szeregu dzieł Stwosza zajmuje ona zaprawdę jedno z pierwszych miejsc. Przedewszystkiem podnieśmy królewskie kompozycyjne wypowiedzenie się Stwosza, niesłychaną śmiałość kompozycyi, trud kompozycyi i węzeł, który arcymistrz tak szczęśliwie rozwiązał. Niemasz w dziejach średniowiecznej sztuki podobnego rozwiązania problemu Świętej Rodziny. Gdybym się na porównanie silił, to tylko paryski Rafael z Louvre'u („Święta Rodzina") może iść z tym Stwoszem w zawody, a pomnijmy, że jeśli cieszyńska rzeźba powstała w czasie roboty nad maryackim ołtarzem, około r. 1480, to Stwosz kompozycyą tą wyprzedza Rafaela o trzydzieści lat! Zawsze i zawsze, nawet u największych artystów świata, figury w „Rodzinie Świętej" spokojnie pozują, malowniczo się układają, nawet taki mistrz, jak Rafael, stara się, aby problem wypowiedzieć ładnie a... łatwo. Porównajmy arcydzieła gotyku i renesansu z naszą, cieszyńską św. Anną! Podjął Stwosz najtrudniejszy problem: Dzieciątko Jezus z kolan N. Panny na łono św. Anny gwałtownie skacze, ratuje Jezusa otoczenie, chwyta Go św. Anna, św. Joachim ręce wyciągnął, aby Go od upadku uchronić. Wielki artysta nie każe swym postaciom ładnie, spokojnie i... łatwo pozować, nowy, niesłychany w sztuce problem podejmuje i rozwiązuje go w sposób również niesłychany. Temat ogromnie trudny wypowiada znakomicie, genialnie rysowanemi figurami. Postać św. Anny, realistyczny, niesłychanie prawdziwy typ św. Anny, linia kompozycyi, prześliczne Dzieciątko Jezus — to jedne z najpiękniejszych kreacyi, jakie wydała średniowieczna sztuka.

Wady tego stwoszowskiego dzieła? Poznajmy dobrze całokształt stwoszowskich sztychów i rzeźb, a wady w rzeźbie cieszyńskiej przestaną być wadami. A więc nikłe, prawie zmarniałe ręce św. Joachima, źle osadzona prawica proroka z lewej strony. Spójrzmy na inne dzieła Stwosza. Jeśli temu zakochanemu w długich, smukłych postaciach arcymistrzowi jest potrzebnem, to wtłacza w trzon sarkofagu Kazimierza Jagiellończyka niesłychanie krótkie, karle figury; jeśli na maryackim ołtarzu dekoracyjnego efektu potrzebuje, to tam stawia ten wielki rysownik niesłychanie długich aniołów i biskupów. Taką samą, jak cieszyński św. Joachim, zmarniałą lewicę ma norymberski „*Bóg Ojciec*" w Germańskiem Muzeum, takie same nikłe rączki ma „*Madonna pod krzyżem*" w ołtarzu w Munnerstädt. Spójrzmy na reprodukcyę naszą i zapytajmy się, coby się stało z kompozycyą, gdyby św. Joachim miał normalne ramiona? A toć ręce jego wydobyłyby się na pierwszy plan, znalazłyby się bliżej widza, niż głowa Jezusa. Aby tego uniknąć, ręce są nikłe. To nie wada Stwosza. To pospolite w średniowiecznej rzeźbie wypowiedzenie się i oczywisty dowód, jak krakowski mistrz nad kompozycyą panuje, kompozycyjnie ciałem ludzkiem rozporządza. Aby ocalić znakomitą kompozycyę, poświęcił postać proroka...

Rzeźba nasza dostała się w r. 1906 do muzeum cieszyńskiego ze świątyni w Kościelcu na Śląsku. Pytanie jednak, w jaki sposób praca Stwosza w księstwo Cieszyńskie zabłądziła i skąd się tu wzięła?

W „Rozporządzeniach norymberskiej rady miejskiej" (Nürnberger Ratsverlässe) ciągle i ciągle czytamy o „pomnikach" (Malstätte), które Stwosz na sprzedaż wystawia, o „towarze" (Waare), z którym Stwosz na jarmark jeździ. Zachowały nam się te mniejsze sprzedażne dzieła, tak w Niemczech, jak w polskiej ziemi. Są niemi drobne rzeźby, rozrzucone dziś po muzeach Hanoweru, Monachium, Norymbergi i Berlina, są niemi dzieła, jakie posiadamy w Krakowie, w Lipnicy Wielkiej, w Tarnowie i Cieszynie.

W STOLICY PERUWII.

Z CYKLU „WĘDROWIEC POLSKI".

II.

Imię Boliwara powtarzano z zachwytem nie tylko w całej Ameryce, ale i Europie, gdzie mężowie stanu z podziwem patrzyli na urzeczywistniające się dzieło wojownika i prawodawcy. Sam, bez żadnej obcej pomocy, zdołał oswobodzić trzy kraje i złączyć je w jeden, jakby przeciwstawiając północnym anglo-saskim stanom południową łacińską konfederacyę. Projekty jego były olbrzymie. Niestety jednak, Boliwar nie był skromnym i cnotliwym obywatelem, ale gwałtownym geniuszem, pełnym sprzeczności i pozbawionym moralnej siły panowania nad własnemi namiętnościami. Musiał zdobyć niepodległość, rządził, jak dyktator-despota. Kraju nie podniósł z upadku, w który pogrążyło go panowanie hiszpańskie.

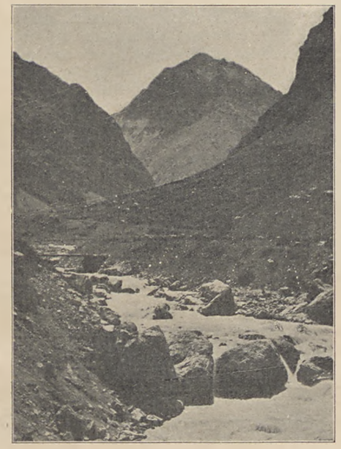

Skały i rzeka Juncal na granicy Argentyny i Czili.

Lima liczy dziś 150 tysięcy mieszkańców. Według historyków ludność Limy już przy końcu XVI-go wieku przewyższała cyfrę 50-ciu tysięcy mieszkańców, złożonych z Europejczyków, Indyan i Murzynów. Gdyby miasto kroczyło bez przerwy po drodze swego zdumiewającego postępu i rozwijało się tak, jak nowożytne miasta dzisiejszych czasów, t. j. podwajając swą ludność co każde lat trzydzieści, dziś byłoby większe od Londynu, a wązka dolina rzeki Rimae okazałaby się za ciasną dla olbrzymiego grodu. Prąd emigracyjny

Posąg Chrystusa, wzniesiony na granicy Argentyny i Czili.

z państw południowych Europy, zwabiony sławą bogactw Peruwii, zaludnił Limę prawie w jednej chwili.

Nie wiem, czy w historyi świata całego istniała sława bogactw równa tej, jaką cieszyła się Peruwia. A sława ta była zasłużona, bo skarby, nagromadzone przez Inków podczas długowiecznego ich panowania, były prawdziwie bajeczne. W aktach okupu, złożonego Hiszpanom 17-go czerwca 1533 r. przez cesarza Inków Atahualpę, znajdujemy ciekawe szczegóły. Całość wypłaconej sumy równała się 20-tu milionom piastrów, nie licząc drogich kamieni i skarbów, wręczonych Fernandowi Pizarro. Każdy żołnierz kawaleryi otrzymał przeciętnie 8,800 piastrów w złocie i 362 srebrne „marki" *), a piechur—4,440 piastrów i 180 marek. Pomimo tej, prawdziwie królewskiej daniny, Atahualpa został zdradziecko zamordowany.

Nie mniej ciekawe są cyfry metalicznych walorów, wysłanych do Hiszpanii na pierwszych trzech okrętach, płynących z Peruwii do Sewilii w 1533 i 1534 r. Ogólna ich suma wynosiła 4,350,000 piastrów w złocie i 375,000 srebrnych marek. Prócz tego, zabrano szczero-złotego indyjskiego bożka, wielkości czteroletniego dziecka, wielkiego orła z tegoż metalu i wiele innych przedmiotów nieoszacowanej wartości. Hiszpanie pozostawili tylko... banany i pomarańcze, ulegające zepsuciu w czasie długiej podróży.

Łatwo zrozumieć zdziwienie, wywołane w Europie ukazaniem się podobnych niebywałych skarbów. Całe tłumy awanturników i chciwych spekulantów opuszczały Hiszpanię i Portugalię, udając się do nowej „Ziemi Obiecanej", bogatszej, niż wszystkie znane, i Lima zaludniła się z szybkością, nieznaną w starożytnych miastach. Ale ponieważ ci ludzie, nie posiadający żadnego rzemiosła lub fachu, niezdolni byli do stworzenia przemysłu, a Hiszpania zabraniała koloniom swoim wszelkiej styczności z resztą świata, rozwój przeto główny stolicy południowo-amerykańskiej ustał z chwilą, kiedy ostatnia drogocenna ozdoba indyjska przeszła w ręce zamorskich przybyszów. Aby żyć, należało pracować, rzecz tak przeciwna zwyczajom dumnych i walecznych „hidalgów"...

Typy Peruwianek.

Dziś Lima, w całej pełni swego upadku, ze smutkiem widzi wielką przewagę miast, powstałych znacznie później i zamieszkanych przez ludność tej samej rasy. Naturalnie bogactwa służą jedynie narodom, umiejącym z pomocą energii i pracy korzystać z nich. Hiszpania władała Nowym Światem, słońce nie zachodziło w jej posiadłościach, złoto Ameryki znikało w skrzyniach jej wicekrólów, a jednak, wraz z całą swoją sławą i potęgą, była nieszczęśliwym krajem, bo wszystkie soki jej ziemi nie wystarczały na utrzymanie tyranii, fanatyzmu, ciemnoty i lenistwa, które ją pożerały.

MICHAŁ CHMYZOWSKI.

*) Ówczesna nazwa drobnej monety peruwiańskiej.

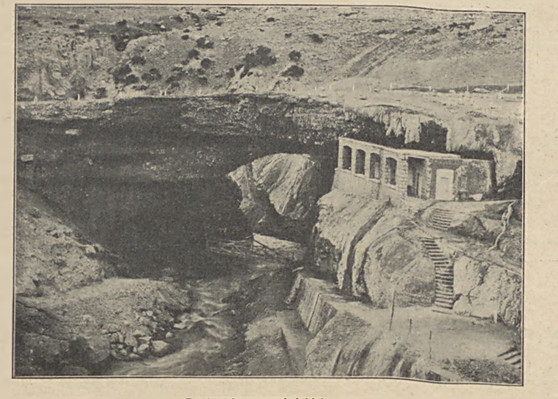

Z widoków peruwiańskich.

Dom wiejski w Peruwii z administratorem i służbą folwarczną.

WIECZORY TEATRALNE.

„Klasztor", sztuka w 5-iu aktach Antoniego Ohorna w Teatrze Letnim. — Popis Szkoły dramatycznej na scenie „Rozmaitości".

Niezamącony spokój celi klasztornej nęcić może ludzi znużonych, startych w żarnach życia, osmaganych rózgami gorzkich doświadczeń i niezdolnych już do walki. Dla takich rozbitków upragniona jest każda przystań i nic ich nie zawróci z drogi do niej, jeżeli tę drogę odnaleźli. Inaczej jednak młodość, nie pozbawiona jeszcze skrzydeł, nie odarta z nadziei. Dla pogodzenia się z klasztorem potrzebuje ona szczególnej łaski Bożej, potrzebuje tego, co nazywamy ogólnikowo powołaniem. Ale i powołanie może być złudne. Nagłębsze przekonania mogą się zachwiać, a głos życia może zawołać w każdej chwili: „wróć się" na tego, kto przed życiem ucieka, wyrzekając się jego rozkoszy i jego bólów. I oto z tego założenia wychodząc, organizacya kościoła ustanowiła nowicyat klasztorny, poprzedzający złożenie ślubów ostatecznych.

Ten okres kilkoletni, w którym młody zakonnik poznaje istotę swojej ofiary, dla jednych jest okresem cichej ekstazy religijnej, dla innych głębokim dramatem wewnętrznym, którego epilog może być trojaki: zwycięstwo powołania, kompromis z sumieniem własnem, wreszcie powrót do świata.

Bohater Ohorna idzie tą trzecią drogą. Rodzice jego wymarzyli sobie, iż syn ich będzie księdzem. Chorowita matka, dotknięta nadto manią religijną, poświęciła go Bogu—i stało się. Poznajemy Pawła Döblera, jako kleryka, który wniósł z sobą do klasztoru gorącą duszę, umiłowanie piękna i poezyi i lot ku ponętnym krainom wyobraźni. Reguła Cystersów św. Bernarda nie wypełnia mu życia. W wolnych od praktyk religijnych chwilach czytuje Lessinga, Goethego, Wielanda, pisuje nawet artykuły o ewangelii piękna. Oczywiście, wydaje się to rzeczą ślizką i nieodpowiednią przeorowi, który też monituje go za to surowo. Dlaczego? Czyż istotnie dla poezyi niema miejsca w klasztorze, czyż i tego wyrzec się trzeba, czy promień słoneczny piękna nie może gościć w celi pobożnego mnicha, nie może radować jego serca na równi z sercem człowieka świeckiego?

— Nie może—odpowiada na to skostniała reguła i oto w duszy młodego kleryka rozpoczyna się bunt. Prawy, szlachetny charakter nie umie zdobyć się na kompromis, zdobywa się tylko na ofiarę. Za cenę pozostania w klasztorze o k u p u j e szczęście siostry, którą matka również przeznaczyła Bogu. Nie rozwiązuje to jednak *jego* tragedyi, nie uspokaja *jego* sumienia. Zresztą i siostra i jej narzeczony spostrzegają, że ofiara jest zbyt duża, że przyjąć jej nie mogą. Zawiadamiają o tem Pawła w chwili, gdy cała rodzina przybywa do klasztoru, aby wziąć udział w akcie uroczystej profesyi młodego mnicha. I chwila ta decyduje. Paweł cofa się, nie podpisuje przysięgi, nie składa ślubów ostatecznych.

SCENA Z AKTU V-go SZTUKI OHORNA „KLASZTOR".

Taka jest treść sztuki, występującej, jak łatwo się tego domyślić, w obronie t. zw. *modernizmu*, toczącego na zachodzie Europy upartą walkę z bezwzględnością Rzymu na nowe prądy, na nowe czasy, usiłujące rozsadzić dotychczasową, odwieczną organizacyę Kościoła.

W Wiedniu, na tle hasła *Los von Rom*, sztuka Ohorna miała podobno powodzenie niezwykłe. I tą właśnie łącznością jej z zagadnieniami chwili, tą aktualnością *polityczno-kościelną* można sobie wytłómaczyć oklaski, jakie zbierał autor.

A u nas? U nas przedewszystkiem sprawa ta nie jest jeszcze aktualną o tyle, aby ten pierwiastek mógł w grę wchodzić przy ocenie sztuki. Przykładając zaś do niej miarę krytyki wyłącznie teatralnej, należy powiedzieć bez ogródek, iż ostatnia premiera *Teatru Letniego* nie dostarcza żadnego materyału do poważniejszych rozważań estetycznych.

Szereg żywych obrazów z życia klasztornego o konstrukcyi raczej malarskiej, niż teatralnej, obrazów nie powiązanych dostatecznie akcyą na scenie—oto wszystko. Poza tem słaby przebłysk dramatu, nie wyzyskany artystycznie w żadnym momencie, pozwalający jedynie domyślać się widzowi tych fermentów i walk, jakie rozgrywają się w duszy bohatera.

A jednak, nie zważając na to, sztuka przyjęta została przychylnie i niewątpliwie będzie miała powodzenie.

Tajemnica tego powodzenia tkwi w sympatyi, jaką widz świecki—w życiu i na scenie—zawsze darzyć będzie tragedyę abnegacyi, zwłaszcza, gdy się ona oblecze przed jego oczyma w białą suknię młodego Cystersa.

Druga przyczyna, zapewniająca sztuce dłuższe utrzymanie na afiszu, to staranna jej wystawa, umiejętne wyreżyserowanie i doskonała gra artystów.

Uznanie należy się tu przedewszystkiem p. Bednarczykowi, jako reżyserowi. Obok niego zasłużyli na gorące oklaski: pp. Knake-Zawadzki, który stworzył świetną w rysunku postać przeora, p. Władysław Wojdałowicz, który był przedziwnie sympatycznym ojcem Serwacym, p. Ludwik Wilczyński w roli o. Meinrada i p. Brydziński, jako brat Paweł. Wyborne sylwety kleryków dali p-wie Lenczewski, Janusz i Karliński. P. Rożański miał bardzo szczęśliwe momenty w roli starego Döblera, a dwie epizodyczne role kobiece, matki i córki, znalazły poprawne wykonawczynie w pp. Bogusławskiej i Dulębiance.

Całość szła składnie, przypominając widzom najlepsze chwile naszego dramatu.

A nie zdarza się to codziennie. Teatr nasz potrzebuje gwałtownie odmłodzenia, potrzebuje dopływu świeżych, mocnych talentów, zwłaszcza w personelu kobiecym, którego jakość nie odpowiada bynajmniej ilości.

Odmłodzenie to ma na widoku *Szkoła aplikacyjna*, istniejąca przy teatrach rządowych warszawskich. W poniedziałek ubiegły odbył się właśnie na scenie „Rozmaitości" popis doroczny uczennic i uczniów tej szkoły. Nie dał on jednak wyników pomyślnych. Wśród 19 sił młodych, które brały udział w przedstawieniu, złożonem z fragmentów 11 sztuk, nie zauważyliśmy ani jednego talentu, o którym możnaby mówić bez zastrzeżeń, któryby się odrazu zaznaczył jakąś własną linią, jakimś pierwiastkiem indywidualnym, dobrze wróżącym na przyszłość. Jedynie p. Zofia Dębnicka w roli Joyzelli Maeterlincka, p. Janusz Nowacki i p. Leopold Zbucki są materyałem, z którego przy dalszej, usilnej pracy i przy wytrawnem kierownictwie mogą powstać siły użyteczne.

Wszyscy jednak uczniowie szkoły, nie wyłączając i tych trojga, p o w i n n i przedewszystkiem zdobyć dykcyę teatralną, powinni nauczyć się mówić wyraźnie i głośno — tak, aby ich było słychać. Oczywiście, ułatwić im to może tylko częstsze obcowanie z prawdziwą sceną i kto wie, czy rzucona przez p. Kazimierza Zalewskiego, obecnego kierownika szkoły, myśl stworzenia czwartej sceny rządowej, używającej młodych sił do reprezentowania sztuk młodych autorów, nie rozwiązałaby istotnie tej sprawy, nie pozbawionej wagi dla przyszłości teatru polskiego w Warszawie.

Teatr ten jest obecnie w okresie ciężkiego przesilenia. Niewiele w nim już pozostało z dawnych, dobrych tradycyi—i jeżeli rychło nie nastąpi zmiana na lepsze, nie powstrzyma go od upadku ani kierownictwo literackie, ani wysiłek tych niewielu aktorów, którzy istotnie dla sztuki pracują.

ZASTĘPCA.

POPIS SZKOŁY APLIKACYJNEJ PRZY TEATRACH WARSZAWSKICH.— Scena z „Joyzelli" Maeterlincka: Aryella (p. W. Stelmaszczykówna); Merlin (p. L. Zbucki); Lanceor (p. J. Nowacki); Joyzella (p. Z. Dębnicka).

Na szerokim świecie.

Upadły kanclerz Rzeszy niemieckiej, ks. Bülow, i jego monarcha, Wilhelm II, byli zgodni na wielu punktach, a najzgodniejsi we wspólnem uczuciu nienawiści do Polaków. Do różnych przepisów surowego rządzenia Polakami—bo inaczej zaraz podnoszą głowę w górę—przepisów, których autorem jest wielki kuchmistrz berliński, przybywają teraz wynurzenia eks-kanclerza.

Nie umiał usunąć się z godnością i ze spokojem z widowni politycznej. Musiał dać upust złości, która go nurtowała, chociaż w rozmowie

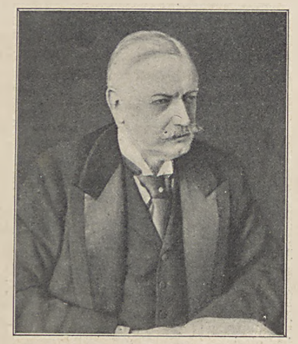

Ks. Bülow, były kanclerz niemiecki.

z dziennikarzem. I powiedział mu dla wiecznej rzeczy pamięci, że za chlubę uważał sobie swoją politykę stanowczą i bezwzględną na kresach polskich. Wyraził obawę, czy polityka ta będzie nadal prowadzona z taką samą konsekwencyą, i wygłaszał wróżby Kasandry, że konserwatyści przez sojusz swój z Polakami podkopali politykę polską rządu na kresach.

Książę Bülow uważa bowiem, że posłowie polscy nie bez kozery głosowali przeciwko reformie podatkowej, głosami swymi przeważając szalę,

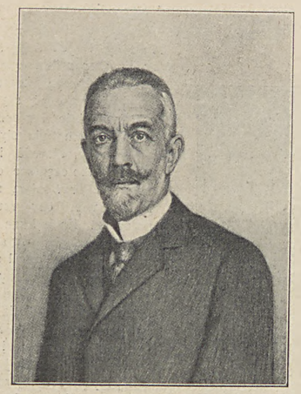

Bethmann-Hollweg, b. sekretarz stanu do spraw wewnętrznych, mianowany kanclerzem Rzeszy.

na której spoczywała godność kanclerza. Może wszakże spać spokojnie. Berlińskie Koło Polskie—jak to widzimy z ogłoszonej deklaracyi—głosowało tak, jak mu kazało własne sumienie i wzgląd na interesy ludu, wybierając z dwojga złych—mniejsze. Że przy tej sposobności, niejako mimochodem, obaliło pyszałka, który zdążył żywiołowi polskiemu dać się dobrze we znaki, to bardzo dobrze. Ale to nie było celem. Jak i niema nadziei, aby cokolwiek mogło się zmienić na lepsze.

Upadły dygnitarz może w spokoju zażywać spoczynku. Bo następcą jego został b. sekretarz stanu Rzeszy do spraw wewnętrznych, Bethmann-Hollweg, autor ustaw antypolskich, których wykonania przestrzegał z surową, nieubłaganą bezwzględnością. Zresztą i o to mniejsza. Cesarz Wilhem II jest sam swoim kanclerzem i ministrem spraw zagranicznych. Potrzebuje puklerza odpowiedzialności i wybiera sobie w tym celu ścisłych wykonawców swojej woli. Póki zatem on sam stać będzie na stanowisku, tak jaskrawo zaznaczonem w rozmowie z prezesem ministrów Stołypinem na wodach finlandzkich, żadne zmiany osobiste na stanowiskach kierowniczych w Rzeszy nie wpłyną w niczem na politykę, stosowaną przeciw ludności polskiej.

Gwardya przyboczna szacha, broniąca wstępu do jego chwilowej rezydencyi w Saltanenbadzie, dokąd schronił się przed konstytucyonalistami.

W nowej nominacyi jest jeden szczegół ciekawy. Oto w państwie junkierskiem, gdzie przesądy szlacheckie są może najsilniejsze w całej Europie, najwyższym urzędnikiem zostaje człowiek z rodziny żydowskiej, pochodzący od bankierów, przed laty zbiegłych z Holandyi w obawie prześladowań, uszlachconej zaledwie od dwóch pokoleń. Na uniwersytecie w Bonn należał do arystokratycznej korporacyi „Borussia" i tam kolegował z dzisiejszym cesarzem Niemiec: może i to nie pozostało bez wpływu na nominacyę. Jest ona zresztą ostatnim, najwyższym szczeblem karyery urzędniczej, przebytej sumiennie od najniższego stanowiska asesora. Znaczenia politycznego nie posiada. Ks. Bülow został usunięty, nie okazał się bowiem dość zręcznym do przeprowadzenia reformy finansowej, bardzo ciężkiej, bo opartej na nowych podatkach. Bethmann-Hollweg ma okazać się zręczniejszy. Oto całe jego zadanie.

* * *

Mohamed Ali, który abdykował pod naciskiem zwycięskiej rewolucyi.

W piątek, 16 lipca, szach perski zrzekł się tronu. Dążenia konstytucyjne w świecie mahometańskim występują najpóźniej, ale za to może utrwalają się najmocniej. Stąd zupełnie podobny przebieg wypadków w obu państwach wyznawców proroka. I Abdul Hamid i Mohamed Ali nadają konstytucyę pod naciskiem liberalnych żywiołów. Sułtan okazuje się przebieglejszym; pozornie w całej pełni sprzyja młodoturkom i, zabezpieczony w ten sposób od frontu, w ciszy gotuje kontrrewolucyę; szach—bardziej bezwzględny i szczerze nienawidzący konstytucyi—rozpędza gwałtem medżilis. Skutki były jednakie i nie dały na siebie długo czekać; dłużej w Persyi, która jest naogół dziksza i mniej zaludniona. I tu i tam wojsko zwycięskie konstytucyonalistów opanowało stolicę, zmuszając monarchę do abdykacyi.

W Teheranie panuje spokój. Podczas krótkiej rewolucyi szanowano osoby i mienie Europejczyków, przedewszystkiem, aby sobie nie sprowadzić groźnej interwencyi. Wszechwładny komendant kozaków szacha, osławiony pułkownik Lachow, służy dziś konstytucyonalistom z taką samą gorliwością, z jaką ich tropił niedawno na rozkaz swego pana.

Nowemu ustrojowi Persyi zagrażają dwa niebezpieczeństwa: interwencya sąsiadów azyatyckich, Rosyi i Anglii, oraz małoletność następcy tronu i, co za tem idzie, konieczność zaprowadzenia regencyi, która najczęściej bywa podłożem walk domowych. Przy tej sposobności nasuwa się wspomnienie głośnego w Warszawie na schyłku ubiegłego roku wygnańca perskiego, księcia Salar ed Dowle, rzekomo brata Szacha, rzekomo zwolennika ruchu konstytucyjnego, za co właśnie ukarany został zesłaniem. Jeżeli tak było istotnie, dlaczego gość warszawski zniknął bez śladu i zwycięska rewolucya nie wyrzuciła go na powierzchnię życia, chociażby na opróżniony tron szachów? Uniknięto by w ten sposób szkopułu regencyi. A skoro tego nie uczyniono, to... kim był właściwie fetowany po salonach naszych młody książę perski?

Drugie niebezpieczeństwo—interwencya mocarstw—nie zagraża, zdaje się, bezpośrednio. Mimo nawoływań wrzaskliwej prasy, której głównem zadaniem jest zawsze mącenie wody, w celu łowienia ryb taniej popularności, rząd rosyjski nie pójdzie za jej życzeniem i nie będzie gwałtem „uspokajał" Persyi.

Bachtjarowie, przedstawiciele walecznego szczepu z południowo-zachodniej części Persyi, którzy odegrali rolę przeważną w ostatnich wypadkach politycznych.

Rosya może tam gospodarować tylko na zasadzie porozumienia z Anglią. Tymczasem państwo to w zasadzie sprzyja wszystkim dążeniom wolnościowym. Można więc spodziewać się, że sąsiedzi pozwolą Persyi dokonać niezbędnych reform i ustalić konstytucyjną formę rządu.

Martwy sezon.

Warszawa współczesna zna już tylko z tradycyi t. zw. *martwy sezon.*

Dawniej, przed laty, bywały podobno w lipcu i w sierpniu kanikuły. Upał przeszkadzał w pracy, życie zamierało, łamy dzienników świeciły mieliznami, jak Wisła przy najniższym stanie wody, i pomysłowi redaktorowie musieli wynajdywać „węże morskie" dla podniecenia czytelników, zapadających w letnią drzemkę. Dzisiaj to wszystko należy do przeszłości. W lipcu jest chłodno i przewiewnie. Nikt nie narzeka na gorąco. Pracować można doskonale, a tętno życia bynajmniej nie słabnie. Wszystko się odwróciło i narzekają już nie ci, których obowiązek przykuł do miejsca i zmusił do pozostania przez lato w obrębie murów, ale ci, którzy dla pokrzepienia sił i zdrowia wyjechali na wieś i za granicę. Zewsząd—i z letnisk krajowych i ze zdrojowisk galicyjskich i z wód obcych—płyną skargi na deszcz, na zimno. I oto tam właśnie przerzucił się *martwy sezon.* Tracą hotelarze, restauratorzy, właściciele sklepów, gdyż jedynym artykułem sezonu stały się parasole i płaszcze gumowe...

W Warszawie za to nie znać zupełnie nastroju „ogórkowego". Barometr tego nastroju, prasa, świadczy raczej przeciwnie o życiu wcale nie kanikularnem.

I tak jest istotnie. Niema kanikuły. Żaden publicysta nie może się uskarżać na brak tematów. Przynoszą ich poddostatkiem druty telegraficzne z całego świata — czy z Persyi, ogarniętej przez pożar rewolucyi i zrywającej się ku nowemu życiu, czy z szerokich zagonów, starannie uprawianych przez dyplomacyę europejską, lawirującą pomiędzy pokojem a wojną, tem nieuniknionem złem, ku któremu rozkaz historyi prze świat współczesny z jakąś fatalną, nieubłaganą siłą, czy, wreszcie, z Paryża, skąd patrzy ku nam odarta z maski twarz nowego Azewa-Hartinga.

Niema kanikuły i u nas, na skromnym terenie naszego życia wewnętrznego. W Częstochowie wre gorączkowa praca nad przygotowaniami do blizkiej już wystawy, Warszawa zastanawia się nad przyjęciem gości czeskich, którym gościnnością chce za zeszłoroczną gościnność odpłacić.

Oba te fakty zajmują opinię publiczną całego kraju i nie pozwalają jej usnąć i oddać się beztroskliwym wczasom letnim. Niema też żadnej obawy o to, aby *martwy sezon* mógł chociaż na chwilę zatrzymać bieg życia i osłabić jego puls.

A przecież nie tak to dawne czasy, kiedy o tej porze lamentowali felietoniści, wzdychając na trotuarach Warszawy do rojnej plaży nadmorskiej lub do cienistych lasów swojskich, gdzie było życie i chłód w porównaniu z martwotą i gorącem miasta.

Dzisiaj — inaczej. Naprawdę, zmieniło się coś na świecie, i to nietylko dlatego, że w lipcu padają deszcze, a termometr nie może przekroczyć +15° R.

Z. D.

POGRZEB Ś. P. HELENY MODRZEJEWSKIEJ W KRAKOWIE.

Pochód żałobny przed teatrem. Przemawia dyr. Heller.

Czoło pochodu u wrót cmentarza. Delegacye.

Pamięci wielkiej artystki.

Zwłoki jej spoczęły tam, gdzie przed laty stała jej kolebka, w prastarej stolicy historycznej Polski, w dzisiejszej stolicy artystycznej, kultowi sztuki poświęconej. Było mu poświęcone i życie genialnej artystki, które od kolebki do grobu zakreśliło łuk potężny, świecąc niezapomnianym blaskiem na scenie warszawskiej, niosąc i za morza sławę kobiety polskiej i artyzmu polskiego. Natchnionemi słowy sławili jej pamięć ci, którym danem było szczęście oglądać

Katafalk w kościele św. Krzyża.

Na cmentarzu.

Modrzejewską, patrzeć na to, jak poezya wstępowała wraz z nią na deski sceniczne, „jako posłanniczka harmonii i piękna, sprawczyni marzeń niedosiężnych, jako źródło najszlachetniejszej tęsknoty, która rwie duszę ludzką w bezmiary".

Zdało się, że u trumny, którą przed tygodniem złożono do grobu, przesuwają się postaci, stworzone przez Szekspira, Szyllera, Słowackiego, Fredrę. I chociaż znikoma jest sztuka artysty scenicznego, przecież, kiedy się wznosi na szczyty genialności i współdziała w sile twórczej mistrzom myśli i słowa, nie umiera wszystka, pozostaje bowiem po niej niczem niezgładzone wspomnienie.

Osoby orszaku pogrzebowego: Min. Dulęba. Namiestnik Bobrzyński. Min. skarbu Biliński. Ochmistrz hr. Chołoniewski, reprezentant cesarza. Wdowa, St. hr. Badeni, marsz. krajowy. Arcyb. Teodorowicz, Metropol. Szeptycki.

WYGNAŃCY POLSCY NA SYBERYI.

Ksiądz Józafat Żyskar, poprzednio w Irkucku, obecnie w Czelabińsku wziął sobie za szczytny cel współdziałanie powrotowi do kraju powstańców z 1863 r., którzy na mroźnej północy przebyli blizko pół wieku. W maju wyruszyła piąta partya wygnańców, powracających z jego inicyatywy, a niebawem za nią wyruszyła i szósta. Gdy rozeszła się wieść o możliwości powrotu, z najdalszych zakątków, z dzikich tajg zgłaszają się kandydaci. Brak środków nie pozwala wszystkich pragnieniom uczynić zadość. Więc ks. Żyskar odwołuje się do ofiarności publicznej o składki na podróż i kąt na dożywocie dla tych, co rodziny nie mają. Pewni jesteśmy, że się nie zawiedzie.

Pokłosie wydawnicze.

Dr. Wiktor Hahn. Szkice literackie o Juliuszu Słowackim, w Brodach, 1909.

Rzeczy różnych rozmiarów i różnej wartości naukowej złożyły się na ten tom, ukazujący się w przeddzień jubileuszu wielkiego pieśniarza „Króla-Ducha". Przeważnie są to t. zw. genezy, czyli dochodzenia, skąd, z jakich danych życia, historyi i literatury zaczerpnął poeta np. szczegół ten lub ów w „Anhellim", czy w „Mazepie", czy w „Lilli Wenedzie". Prócz tego kilka jeszcze drobnych spostrzeżeń i uwag marginesowych (np. o tragedyi p. t. „Wallas"), a wreszcie artykuły okolicznościowe, że tak powiemy, jubileuszowe, roztrząsające np. pytanie, jak wobec setnej rocznicy urodzin Słowackiego powinno zachować się społeczeństwo polskie, szkoła, lub nauczycielstwo ludowe. Istotnej treści naukowej w tomie tym, jak widzimy, niezbyt wiele.

Napoleon na wyspie Św. Heleny. Pamiętnik hr. Balmain'a.

Ostatnie lata życia Napoleona, spędzone na wyspie św. Heleny, posiadają po dziś dzień szczególniejszy urok, owiany blaskiem niemal legendarnym. Życie cesarza na wygnaniu było też niejednokrotnie przedmiotem studyów historycznych i relacyi pamiętnikarskich; do wybitniejszych dzieł w tym rodzaju należy głośny „Mémorial de S-te Hélène", spisany przez Las Cases'a, towarzysza wygnańczej niedoli Napoleona. Pamiętnik podpułkownika Balmain'a, komisarza rosyjskiego na wyspie, powstał z obszernych raportów, przesyłanych Aleksandrowi I do Petersburga; skreślone barwnym i zajmującym stylem, z dużą zdolnością obserwacyjną, raporty powyższe przedstawiają ostatnie dni genialnego Korsykanina, jego zapatrywania na sprawy ówczesnej polityki, między innemi na kwestyę polską, charakteryzują otoczenie i tryb codziennego życia więźnia i t. p. Przekład z oryginału angielskiego, dokonany poprawnie przez M. Wierzbińskiego, wyszedł nakładem ruchliwej „Biblioteki Dzieł Wyborowych".

Władysław M. Kozłowski. Jak czytać utwory piękna. Literatura piękna, jako źródło wykształcenia, Warszawa, 1909.

Praca niniejsza jest jakgdyby uzupełnieniem poprzednio wydanego dziełka tegoż autora, p. t. „Co i jak czytać", którego rozeszły się cztery wydania — dobre świadectwo pożyteczności książki. Tam była mowa o rzeczach naukowych, tutaj — autor zwraca się do literatury, w niej szukając pierwiastków kształcących. Nie ogranicza się przytem do wynotowania szeregu wskazówek metodycznych i bibliograficznych, ale i uzupełnia je uwagami ogólnemi, z dziedziny estetyki i filozofii, illustrując je rozbiorami najcelniejszych dzieł literatury powszechnej i polskiej. Niewątpliwie też intelligentny a chciwy wiedzy samouk znajdzie tu wiele wiadomości, które przydadzą mu się przy jego pracy.

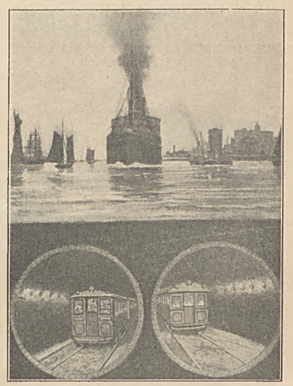

Tunel pod rzeką East River, między New-Yorkiem a Broklynem.

Cuda techniki zamorskiej.

W New-Yorku ukończono drugi podmorski tunel, łączący New-York z przedmieściami: Broklynem i Jersey City, długości pięć mil angielskich, i oddano do użytku publicznego. Jeden z akcyonaryuszy, na zapytanie, czy opłaciło się na niepewne wydać 3 miliardy dolarów, jeżeli za tą samą opłatą (5 ct.) każdy może jechać statkiem na drugą stronę, odpowiedział: „Tak, panie, ale statek jedzie minut 12, a pociąg w tunelu 7 minut, zyskuje się więc 5 minut, a czas to pieniądz, każdy chętniej pojedzie tunelem".

Arcydzieło techniki i inżynieryi, trzeci most, łączący Broklyn z New-Yorkiem, na ukończeniu; most ma rozpiętości 2212 stóp, na jednym filarze cały z żelaza i kamienia. Projekt wykonał i budową kierował inżynier R. Modrzejewski, syn zaszczytnie znanej artystki, ś. p. Heleny Modrzejewskiej.

OSOBISTE.

BOLESŁAW PRUS wyjechał do Nałęczowa, gdzie bawić będzie przez dwa miesiące.

Współredaktor literacki naszego pisma, p. ARTUR OPPMAN, wyjechał na wypoczynek letni zagranicę.

Kierownik artystyczny „Tygodnika", p. JÓZEF HOŁEWIŃSKI, wyjechał do Ojcowa.

Sekretarz literacki „Tygodnika", p. HENRYK GALLE, powrócił z zagranicy.

LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2.
NAJLEPSZE UBIORY MĘSKIE.

WARSZ. TOW. AKC. **„MOTOR"** poleca:
Sole do kąpieli NAUHEIMSKICH z kwasem węglow.
Sole do kąpieli BALSAMICZNYCH z kwasem węglow.
Sole do kąpieli JODOWO-BROMOWYCH z kw. węg.
Sole do kąpieli SIARCZANYCH z kwasem węglowym
Sole do kąpieli ŻELAZISTYCH z kwasem węglowym.

Najlepsze perfumy, mydła i wody kolońskie S. J. Czepelewieckiego
Żądać wszędzie.

PIWO **DROZDOWSKIE** marcowe, kuracyjne sprzedaż wszędzie.

Jubileusz Muzeum Narodowego.

W przededniu uroczystości Słowackiego, d. 16 października r. b., obchodzony będzie uroczyście w Krakowie ćwierćwiekowy jubileusz istnienia poważnej instytucyi Muzeum Narodowego.

Zrodzone z ofiarności jednostki, wsparte hojnością artystów i zbieraczów, obdarzone poparciem władz rządowych i autonomicznych i otaczane niezmienną wciąż opieką i życzliwością ogółu — rozwinęło się Muzeum w ciągu lat ubiegłych pod każdym względem i w każdym kierunku. Ścieśnione zrazu w kilku salach Sukiennic, wypełnia sobą dziś wszystkie sale gmachu, a dzięki patryotyzmowi szlachetnej jednostki i wielbicielom geniuszu Matejki, wyszło już dawno poza obręb Sukiennic i wcieliło w swój organizm dwie samoistne zrazu instytucye: Muzeum Emeryka hr. Hutten Czapskiego, oraz Dom i Muzeum Jana Matejki. Z chwilą przeniesienia Muzeum na Wawel, otwiera się przed instytucyą nowa zupełnie epoka rozwoju, świetna niewątpliwie, lecz najeżona takiemi trudnościami i takich wymagająca ofiar i wysiłków, że tylko zbiorowe siły narodu zdolne są pokonać je i zadaniu sprostać. Ażeby więc rozproszone siły skupić, ofiary i fundacye pozyskać, sposoby i środki najprościej do celu wiodące obmyślić, trzeba przy sposobności jubileuszu powołać do rady i czynu wszystkich ludzi dobrej woli i gorącego serca, z wzrostu instytucyi zdać przed społeczeństwem sprawę; uczcić pamięć tych, którzy do jej powstania rękę przyłożyli; jednym rzutem oka objąć jej dzieje; rozważyć i obliczyć to, co dotychczas dało się już osiągnąć; zastanowić się nad tem, co jeszcze zrobić i w jakim kierunku zrobić należy. Takie będą zadania obchodu jubileuszowego, jak informuje nas odezwa, podpisana przez kilkudziesięciu ludzi zasłużonych i zajmujących najwybitniejsze stanowiska w społeczeństwie polskiem, bez względu na granice państwowe.

PROJEKT KOŚCIOŁA W LIMANOWEJ, którego autorem jest architekt, p. Z. Mączeński z Warszawy, otrzymał pierwszą nagrodę na konkursie, na który nadesłano 23 projekty; wysokość nagrody wynosi 2,000 koron. Warunkiem konkursu, ogłoszonego przez znane ze swych dążeń do unarodowienia sztuki polskiej towarzystwo „Polska Sztuka Stosowana", było, aby kościół odpowiadał charakterowi otoczenia i miejscowej architektury ludowej. Nagrodzony projekt przewiduje budowę z kamienia ciosowego, obliczoną na pomieszczenie 2.500 osób. Dzięki monumentalności materyałów oraz użyciu motywów swojskich (dachy, podcienie), udało się bez uciekania się do kosztownych a równocześnie w naszym klimacie niepraktycznych efektów, najprostszymi środkami, uzyskać wrażenie, harmonizujące w zupełności z charakterem podhalańskiego miasteczka.

JÓZEF WEYSSENHOFF:

UNIA

POWIEŚĆ LITEWSKA.

Zastrzega się prawo przedruku. 30)

Płynęły dni ciche, jednostajne zewnętrznie, odróżniające się głównie tylko zmianami pogody, która to pociągała towarzystwo do przechadzki po żółkniejącym już parku, to zatrzymywała je w domu przy książkach i długich rozmowach.

Niepotrzeba dodawać, że zamieszkanie u księdza Antoniego dwóch pań, z których jedna tak piękna, było wypadkiem historycznym, mogącym iść w zawody tylko z ogłoszeniem konstytucyi w Ponikszcie. Co to znaczy i jakie stąd mogą wyniknąć przewroty?—gwarzono gorliwie, zwłaszcza po dworkach, w których siedziała tu gęsto drobna szlachta zagrodowa, „dworzanie", natury niespokojniejszej, niż chłopska, czujni na politykę, producenci opinii parafialnej. Ponieważ stwierdzono odrazu, że ksiądz Antoni nocuje w altaryi, lecz dni całe spędza z paniami we dworku, były dwa wnioski opinii: albo się ksiądz wyniesie z Ponikszty, albo powoli zamieszka ze swemi paniami we dworku. Pomimo znanej świątobliwości księdza Wyrwicza, obecność pani Krystyny była lubem dla kumoszek zgorszeniem; skandal bowiem miłuje pospolity bliźni bardziej, niż cnotę cudzą: jest na co popatrzyć, jest o czem niewinnie pomarzyć, od czego się odróżnić i ponad co wywyższyć. — Nazwisk mieszkanek domku parkowego nie wiedziano długo, ksiądz Antoni bowiem, powierzywszy historyę swych gości dziekanowi, prosił go, aby ją zachował do czasu w tajemnicy. Więc i o pochodzeniu i o sytuacyi dam parkowych krążyły legendy przeróżne; domyślano się w nich to krewnych księdza, to uciekających przed policyą, to znów osób krwi królewskiej.

Nic z tych pogwarów nie przeniknęło do dworku księdza, gdzie życie płynęło zegarową rotacyą, odosobnione zupełnie od świata. Działy się tam jednak rzeczy niepospolite w dziedzinie duchowej. Wiele opowiedziała Krystyna księdzu Antoniemu o stanie swej duszy i o zjawiskach zewnętrznych, które zanotowała, ale i ksiądz z wielu ukrytych swych pragnień i planów zwierzył się dawnej uczenicy, teraz kobiecie rozwiniętej pełnią kwiatu, jeszcze blizkiej dzieciństwa zapałem, a już wprawnej w myślenie nad rozdźwiękiem rzeczywistości z ideałami. Nie gasił mądry ksiądz żaru jej umiłowań, wiary w możliwość odrodzenia świata. Tylko nienawiść do ludzi wrogich starał się osłabić w Krystynie.

— Nienawidzieć można tylko Szatana, pierwiastek zła—mówił.—Ludzi godnych nienawiści niema; w najgorszych jest płomień Boży, niezupełnie zagłuszony.

Wykładał teoryę wszechmocnej miłości, jako rozwiązania wszelkich zawikłań spółczesnych w etyce i w polityce. I z tematu tego przeszedł do osobistego wyznania, że pisze dzieło „o nowożytności idei Chrystusowej".

Zastać ich było można zwykle w domu lub w ogrodzie—tego chrześcijańskiego filozofa i tę światową kobietę—zatopionych w czytaniu rękopisu lub druku i rozprawiających na prawach nie mistrza i uczenicy, lecz dwojga ludzi, kochających się zgodnie w Prawdzie. Nie pozostali też oboje bez wzajemnego na siebie wpływu. W Krystynie odżyły i pogłębiły się wszystkie nauki jej młodości; z rozkoszą czuła zwierające się w jej umyśle łuki sklepienne, na których mogła opierać nowe piętra gmachu. Poznawała wartość oderwania się od świeckiego zgiełku dla rozwoju zasad i podstaw czynu; poznała czar świątyni myśli. Ale i mistrz dawny uczył się czegoś od wychowanicy: kunsztu trwałej młodości.

— Stosować to wszystko, stosować, księże profesorze!—nawoływała Krystyna.—Jabym to rozumiała tak: te księgi mądrości będą naszym kodeksem, a my się uformujmy w towarzystwo działające, choćby spiskujące...

— I książki są działaniem, moje dziecko. Dać społeczeństwu dobry wynik sumiennego o niem myślenia—to także coś warte. Księgi sprowadziły rewolucyę francuską; dlaczegoby nie mogły przyśpieszyć teraz rewolucyi etycznej?

— Czas już działać, księże profesorze; trzeba iść między ludzi.

Ksiądz nie starał się postawić na swojem; słuchał i zamyślał się czasem nad tem, czy mała filozofka nie ma słuszności.

Rozmowy ich transcendentalne dochodziły zwykle do tego rozdroża.

A były i pogadanki, i zabawy, setne okazye ciągłego porozumienia, z których, na mocnej osnowie wzajemnego szacunku, przędło się jakieś życie niby familijne, niby koleżeńskie lub sielsko-szkolne, do którego człowiek przywiązuje się szybko. Zwłaszcza ksiądz Antoni czuł się odmłodzonym i począł, według słów poety, „do szczęścia przywykać powoli". Dopiero się to szczęście budowało, wznosiło, więc dawało złudzenie, że tak trwać może.

Powracał w rozmowach uparty pomysł Krystyny związku ludzi najlepszych, jakiejś idealnej oligarchii etycznej i patryotycznej, któraby powoli wzmogła się

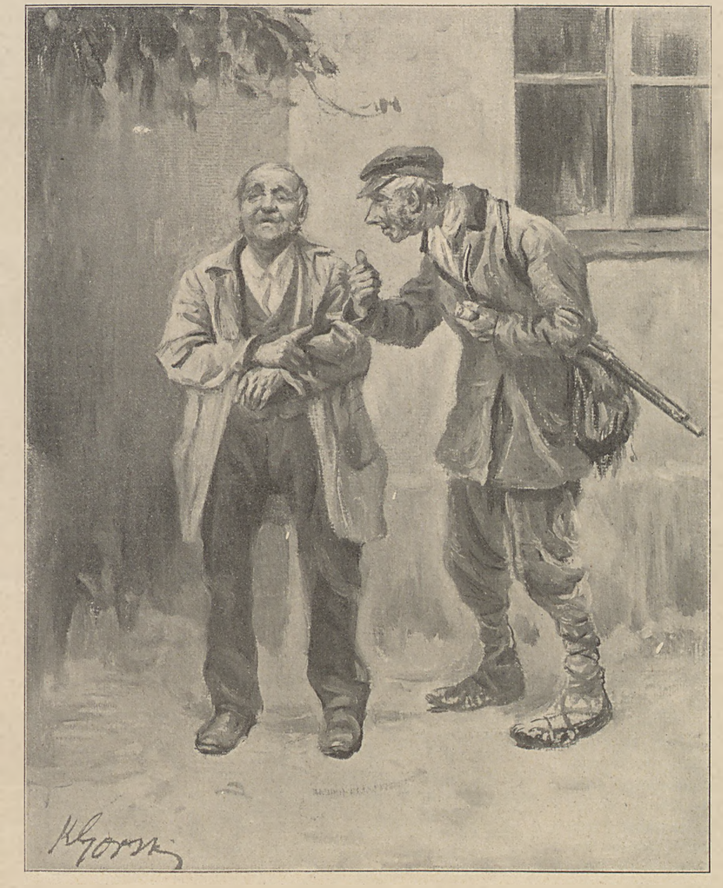

Żbik leśny porozumiewał się z kotem domowym mimiką... K. GORSKI

w liczbę i sprowadziła panowanie złotego wieku na ziemi, najprzód na ziemi naszej. W związku było ich dwoje tymczasem: ksiądz i kobieta, głowa i serce. Choćby na początek przybrać trzeciego towarzysza, przedstawiciela siły ramienia...

— Gdyby go ksiądz profesor poznał, przyjąłby go odrazu do naszego spisku!

— Kogo, moje dziecko?

— No...

— Ach, zawsze tego samego?—rzekł ksiądz Antoni z odcieniem żalu w głosie.

Ale natychmiast poprawił się:

— Rzeczywiście bardzobym ciekaw był go poznać.

— To może wkrótce nastąpić.

— Jakim sposobem?

— Pan Rokszycki obiecał powrócić w te strony. Może zajedzie i do Poniksztу.

— Czyż zna już miejsce twego pobytu?

— Napisałam do niego, że tu mieszkam...

Zarumieniła się mocno, najprzód że był to jedyny jej czyn znaczniejszy tutaj, o którym donosiła mistrzowi dopiero po wykonaniu; następnie—poczuła się niby do zdrady tej samotności, niby do lekkiego ubliżenia księdzu Antoniemu, że jej do szczęścia nie wystarcza.

Powracali z dalszej przechadzki, brzegiem jeziora, we dwoje, gdyż panna Karolina wypraszała coraz częściej spoczynek dla swych nóg zmęczonych; używała ich już prawie wyłącznie na krótką wędrówkę do kościoła. Dzień był bez pozłoty słonecznej, mgławy, choć przezroczysty—alabastrowy. Wyblakły brzeg łąki przechodził nieznacznie w wodę jeziora, był jakby nadsztukowany pomostami zielono-żółtej trawy, którą obciążały żerdzie i kamienie. Ostra, osobliwa woń „roszeńca", czyli lnu moczonego, nasycała powietrze.

— Jeżeli tu przyjedzie—rzekł ksiądz Antoni—napatrzy się dowoli, jak wygląda nasz roszeniec.

Krystyna ucałowałaby ręce księdza, gdyby nie wiedziała, że się od tego broni, zwłaszcza gdy są we dwoje. Wolała wskazać na cel, do którego w tej chwili zdążali, na Poniksztę dwuwieżową kościołem, rozsypaną domkami po wzgórzach, kryjącą się coraz bardziej za zwarty kosz wybujałej, gęsto przesypanej złotem, zieleni:

— Jaki nasz park piękny!

XX.

Są w życiu człowieka okresy, jakby wyjęte z ogólnej reguły jego przeznaczeń,— sny długie i rozbudzone, podczas których człowiek czuje się odmiennym od siebie samego, patrzy z góry, czy z ubocza na pasmo życia swego, rozumie lepiej swą dolę i pragnienie. Nie są to tylko okresy osamotnienia; można sny takie mieć we dwoje, opromienione wspólną myślą albo wspólnem uczuciem; można je nawet spotkać śród obcego tłumu. W tych długich, jasnych nocach istnienia człowiek dojrzewa szybko, każdy według gatunku swego: staje się poetą, jeżeli był piosenkarzem; spiskowcem z marzyciela, fanatykiem z dyletanta. Tylko ludzi słabych to pogrążenie we własnej myśli zgęszczonej może złamać, albo i zabić. Ale każdego, przy powrocie do pasma dni pospolitych, zwanych rzeczywistością, przejmuje zimnym dreszczem świat realny i kładzie mu w usta niechętne zapytanie: „po co już powracasz?".—

Pewnego ranka w połowie września Krystyna już ubrana—nauczyła się wstawać ze słońcem—wyjrzawszy przez okno, spostrzegła ze zdziwieniem, że zamiast jednego Lejtana przed domem stoi dwóch, drugi chudszy, z flintą przez plecy. Łatwo poznała w przybywającym Jurka, brata Piotrowego.

Żbik leśny porozumiewał się z kotem domowym mimiką pocieszną, gdyż słów Krystyna nie słyszała. Widocznie wypytywał ciekawie, celując chytrem spojrzeniem w twarz brata podobną, lecz bardziej odętą, ze spuszczonemi powiekami. Jurko pykał z fajki, a Piotr rękoma skrzyżowanemi na brzuchu wyrażał odporność. Jurko kiwał wielkim palcem wyłamanym ku domowi, jakby pytał, czy może wejść, albo: czy dasz wódki, braciszku?—a Piotr, odłączając palec wskazujący od rąk na brzuchu, odpowiadał przecząco: „nie puszczę", albo „nie dam".

(DCN)

ZUZANNA RABSKA:

W STARYM PARKU.

I.

Długi szpaler grabowy, długi, równy, niesłychanie prosty. Ściana zielona, równo strzyżona, ściana umęczonych grabów, których dusze ujarzmiły nożyce ogrodnika, wola bezmyślna, pożądająca linii prostych, logiki i harmonii.

Biegną w dal linie pokorne, równoległe, które nie połączą się nigdy, nigdy nie poślubią, nie zaznają rozkoszy nagłych spotkań i przeniknięć wzajemnych, słodyczy istnienia z sobą, nie przy sobie...

Obce sobie, choć blizkie pozostaną na zawsze.

Ledwo k'sobie wybiegną dwa liście zielone — dwie tęsknoty, ledwo się nachylą ku sobie gałęzie-ramiona w godzinie pragnienia— — — zjawiają się nożyce ogrodnika i suchy, jednostajny zgrzyt nakazuje im milczącą pokorę.

Przez okna, w ścianach zielonych wycięte, zaglądają świecące, ciekawe oczy stawu, oczy z zewnątrz, pogrążone z lubością w tajemnej ich męce. Łątki blade się snują—wspomnienia błękitnych, cichych godzin...

Z głębi parku dochodzi szum starych, wolnych drzew: lip, topoli i kasztanów. To szumi śpiew życia, wolny, potężny, niczem niezmącony, z piersi ziemi dobyty, z wichrem płynący, życia szum...

...O, zielone ściany umęczonych szpalerów, drzemiące w zmierzchu, może nieświadome swych praw, swej tęsknoty! Jakże mi was żal, że tak blizkie siebie jesteście, a tak dalekie, tak nieskończenie dalekie... Że biegniecie wokoło tych samych głębin, pod tem samem niebem, słuchając tych samych melodyi starego parku, a nie spotkacie się nigdy, nigdy...

II.

Szkli się w zmierzchu wieczornym tafla małego jeziorka, wśród gąszczy parku. Mdławe światło księżyca sączy w wodę refleksy perłowe, białe i chłodne. Jest pusto i cicho. Czasem cień zwiewny przesunie się nad wodą, idąc wolno w stronę drzew skupionych. To chodzi Marzenie w białej, księżycowej szacie i cicho nuci pieśń o śnie i zapomnieniu.

Do stawku schody prowadzą, a na nich wegetuje pleśń. Na co są te schody? Kto niemi wchodzi, lub kto idzie ku wodzie? Zawsze są puste, choć możliwe, że w nocy wodnice białemi stopami skradają się po nich na brzeg, by pląsać na chłodnej trawie.

Pusta łódź na wodzie się kołysze i sennie pluszczą opuszczone wiosła, gdy wiatr powieje.

Wierzby płaczą dokoła w ładnie wystudyowanych pozach—stylizowane symbole żalu.

Nad wodą posąg kamienny bieleje. Kształt jego zjedzony przez czas, zmarnowany przez wilgoć i deszcz. Nie wyda go noc ciemna, nie zdradzi go woda, w której drży niepokojące jego odbicie—posąg blady, o niewiadomej treści.

Może to Pan, syn Hermesa, kochanek Oread, Pan arkadyjski, straszliwy w gniewie, gdy śmiertelnik podczas snu jego zakłóci spokój drzew i spłoszy dryady?

...Cicho idźmy, cicho nad wodą... Nie mąćmy głosu drzew, gdy drzewa melodyi duszy nie głuszą...

Może to słodka Hebe, córa Jowisza, młoda Hebe z czaszą w ręku, z której bogowie podczas uczt pili słodkie wino?

...O duszo, duszo, czy ci naprawdę brak uczt, śpiewów i ludzi? Czy tęsknisz do tych okien pałacu, które przeświecają żółto przez gąszcze parku?

Może to Satyr z orszaku Dyonizosa, grający na flecie, pijany, kosmaty Satyr o kształcie potwornym, upatrujący nimf białych?

...Śmiech szyderczy powiał przez gęstwinę drzew... Czy to wy się śmiejecie, drzewa? czy wy, wodnice? czy ty się śmiejesz, duszo, z własnych rojeń?

Może to Wenus Astaroth z wyspy Cerigo, Venus niepokojąco piękna, bogini wiosny, miłości i płodnej ziemi, słodka Kythereia, wzbudzająca wieczystą, nieugaszoną tęsknotę?

...Nie budźmy, nie budźmy snu serca, gdy się ułożyło do snu na pościeli marzeń, nad którą Zjawa czuwa...

Milczący stoi ów kształt niewiadomy nad wodą, w objęciach nocy, w pieszczotach chłodnej pleśni, kształt zastanawiający i tajemniczy, jak samo życie, trwające nad nieświadomą głębią, u niewiadomych brzegów...

III.

W dusznej cieplarni, pod szklanym dachem, drzemią kwiaty, długiem czuwaniem zmorzone. Kwitną pod szeroko rozwartemi, opiekuńczemi dłońmi palm rośliny—cuda, rośliny—potwory.

Niech mnie zmorzy jadowita, a rozkoszna woń kwiatów nieznanych, kwiatów dostojnych, kwitnących zdala od powszedniości łąk! Niech mnie uduszą śmiertelne sploty gałęzi, niech mnie zabije słodycz trujących liści!

Niech poznam szał ziemi, rodzącej w cierpieniu i miłości, szał płodnej, gorącej ziemi podzwrotnikowej!

Wiją się potworne skręty ostromleczy, chciwych rozkoszy przedzgonnej, czepiających się w trwodze przed śmiercią strzelistych pni palmowych.

Nizko przycupnęły na kamieniach chorobliwie tłuste kaktusy, zadowolone z istnienia i bierne.

Wysoko strzela *hibiscus* o wielkich, żółtych liściach, wydających słodką, nurtującą woń ambry, jakiej używały złotowłose greckie niewolnice.

Wesołe, bogato ubarwione begonie są jak kobiety, które chcą robić wrażenie bogactwem strojów.

Lilie purpurowe, wewnątrz białe i lilie szafranowo-złote, centkowane jak tygrysy, jawią swe drapieżne twarze.

Wśród paproci zielonych, kołyszą się na wiotkich łodygach delikatne główki irysów, o cerze bladej, jak żyłki na skroni dziewczyny, której nie dotknęły niczyje usta.

Gloxinia maculata śni swe sny błękitne o jeziorach i zatokach dalekiego morza.

A wszystko się pławi w mdławym, niepokojącym, głębokim jak dreszcz przesytu czadzie wanilii. Dyszy nią cała roślinność cieplarniana. Oddech duszny zdaje się być głosem wołającym z głębi kwiatowych kielichów, głosem tęsknoty do życia po za szklaną ścianą.

Woń ta zabija nawet orchidee. Przepiękne, trójbarwne dzwonki, rozwarte jak usta potworne do drapieżnych pocałunków. Wanilia zabrała im woń, ale pozostała im jeszcze piękność królewska barw i linii. Łaszą się i grożą, pieszczą i kąsać się zdają, wabne, pyszne i zdradzieckie kwiaty książęce, kwiaty o krwi błękitnej.

Królewny lila, centkowane różowo, senne, omdlewające z pragnienia pieszczoty, chwiejące się, a zawsze dumne. Księżniczki kapryśne, w złotych buciczkach żyłkowanych purpurowo, wesołe, płoche, niby ptaki świergocące na gałązkach. Hrabianeczki bose, o stopkach różowych, delikatnych, jak blade muszle...

Oh, cudowne jesteście, wy krzewy i kwiaty dostojne, pod szklanym dachem, zdala od powszedniości łąk kwitnące!

Wzniosły jest wasz hymn przedzgonny, o lilie, trwające tak krótko!

Niepokojące są szepty gorących ust waszych, czerwone róże, wonne wszystkiemi wonnościami ziemi!

Wymarzone jest istnienie wasze bez troski, kwiaty dziewicze, o uśmiechach bladych!

Boską jest wasza religia Piękna, bowiem tylko Pięknu służycie wiernie!

Cudny jest wasz kult czystości, bowiem nie pożądacie się wzajemnie!

Rozkoszne są sny wasze o pieszczocie oczu, o szeleście, jaki wydają struny gałązek, o pocałunkach ciepłego powietrza— sny niewymowne, których żaden szmer z zewnątrz nie śmie zakłócić po przez szklane ściany!

Zadziwiający jest wasz dar dawania z siebie tylko tego, co jest w was pięknem i doskonałością!

Dziedzic odjechał z folwarku. Wł. JASIEŃSKI

Z teki pośmiertnej ADOLFA DYGASIŃSKIEGO:

CHAM.

NOWELA. 3)

Przegląd młodzieży szwyckiej odbywał się w dalszym ciągu i Kaczor myślał nad tem, co zrobić, aby rozjaśnić oblicze pańskie i poprawić swoje stanowisko poniekąd zachwiane w łaskach dziedzica, który z pytaniami zwracał się teraz do Jagi i Musiałka. Włodarz stropiony pochwycił pierwszą lepszą sposobność. Jaś i Kasia przyglądali się z pod płotu widowisku. Byłoby dobrze, gdyby dzieci podeszły, ucałowały z szacunkiem rękę pańską: świadczyłoby to o przywiązaniu rodziny do dworu. Ojciec skinął na dziatwę:

— Pójdźcie-no tutaj!

Cóż, kiedy małe, zamiast usłuchać tatusia, rzuciły się raźno ku czworakom, wpadły do izby, przylgnęły do spódnicy matusinej.

— Baba mi dzieci zbałamuciła, poprzewracała im w głowach!

Chciał użyć ojcostwa za deskę zbawienia i to mu się nie udało, a wszystkiemu winna żona.

— Psiakrew!

Dziedzic, zatopiony w cielętach, udawał, że nie widzi, co zaszło. Badał jednak uważnie ludzi, którzy obsługiwali rasowy cielętnik, źródło przyszłości Lutopola. Pan ten — słusznie, czy niesłusznie — doszedł dziś do przekonania, że włodarz jest obłudny udawacz i razem z całą swą rodziną nie przedstawia dla dworu żadnej wartości. Za to całkowitą zasługę wspaniałego wyglądu szwyców, po zimie bardzo ostrej, przypisywał Musiałkowi zupełnie szczeremu i Jadze ogromnie zapobiegliwej.

Kury przed nim pierzchały. WŁ. JASIEŃSKI

— W Kamionce będę musiał zaprowadzić zmiany!

Z tem wszystkiem, zachwycony cielętami dziedzic Lutopola dobył z kieszeni pięć rubli w złocie i dał Maciejowi, jako przełożonemu. Musiałka obdarzył trzechrublówką papierową, a Jaga dostała dwa ruble w srebrze.

— Macie na święta!

Wyściskano pana dobrego pod kolana, wycałowano na odjezdnem po rękach. Jaga nastręczała mu się głównie i pozyskała go sobie dzisiaj. Dawniej odwracał się ze wstrętem od wiedźmy starej, brudnej; dziś wprawiła go w zachwyt.

— Ta dobra kobieta ciągle widać przebywa z moimi szwycami: czuć od niej i znać na niej tylko oborę.

Zapowiedział nareszcie, że jeszcze jutro zjedzie tu z całym dworem na oględziny cieląt, i odjechał, a ostatnie jego spojrzenie łaskawe padło na Jagę, nie na Macieja, jak bywało przedtem.

— Źle! — pomyślał Kaczor skwaszony. Spojrzał z podełba na Musiałka, który trzymał w ręce papierek trzechrublowy i wpatrywał się weń z gębą rozdziawioną szeroko. Jaga, rozpromieniona, ściskała mocno dwa ruble i spoglądała za odjeżdżającym dziedzicem, jakby za kochankiem—była nadzwyczajnie szczęśliwa.

Włodarz naumyślnie upuścił na ścieżkę monetę złotą, aby widziano, że go dziedzic wyróżnił jednak.

— Co mi tam pieniądze!—mruknął. — Za wystawę cieląt w Warszawie wziąłem dwadzieścia pięć rubli i drugie tyle strawnego... Wielkie rzeczy!

Zdawało mu się, że Jaga patrzy nań wzrokiem tryumfującym, chciał pokazać swą władzę i zgrzytnął na Musiałka:

— Spuść zaraz z uwięzi Borutę i Waligórę, niech sobie w okólniku pochodzą!

Boruta i Waligóra były to byczki trzechletnie, bardzo wysoko cenione, sława i nadzieja obory w Lutopolu.

— Ej, niech lepiej każdy osobno pochodzi! Bodliwe strasznie i może jeden drugiemu zrobić krzywdę—odezwała się Musiałkowa.

Uśmiechnął się z pogardą włodarz i rzekł:

— Babsko stare, jak próchno, a głupie!.. Tyś w życiu nie widziała tyle byków, ile ja wychowałem.

Potem zwrócił się do Musiałka z temi słowy, wygrażając palcem:

— Słuchaj-no, ty gamajdo! Zapowiadam ci, żebyś od dnia dzisiejszego nie ważył się wpuszczać tej czarownicy między cielęta dworskie! Co mi trup taki ma tu ciągle świecić na oczach!...

— A no!—odpowiedział skotak i poszedł spuścić z uwięzi Borutę i Waligórę.

Jaga zerknęła zezem na włodarza zmierzającego ku czworakom, uśmiechnęła się złowrogo, machnęła lekceważąco ręką koło ucha i poszepnęła:

— O-ho!

Maciej nadęty, zadowolony z siebie, wszedł do izby, trzymając w palcach sztukę złotą tak, aby ją żona widziała. Zdawało mu się widać, że olśni babę, upokorzy na wstępie, a potem zmiażdży, zmiesza z błotem.

— Suka jedna, nawarzyła piwa! Dam ja jej!... Będziesz ty drugi raz na moją szkodę rozbijała przy dziedzicu cielęta dworskie! Psiacię-mać!

Wtem na progu mieszkania myśl mu przyszła do głowy:

— No, a gdyby też Weronika podstawiła się teraz na miejsce Jagi i jutro w obecności całego dworu okazała dbałość ogromną o młode szwyce!... O, toby niezawodnie przejednało dziedzica!... Tylko, czy ona się zgodzi? Sobaka uparta, zawdy ma jakieś muchy w nosie. Ha, nie zawadzi spróbować!... Baba

postawna, każdemu w oko wpadnie... Choćby nasz rządca: jak mu się to oczy do niej śmieją!

Ale w takim razie Maciej, zamiast skląć babę na wstępie, sponiewierać, musiał zacząć od przedstawień łagodniejszych. Zdawało mu się, że przemówi najlepiej do serca żony, jeśli przybierze minę smutną człowieka nieszczęśliwego, i tak zrobił.

Włodarzowa—zwyczajnie, jak to przede święty—szorowała sprzęty domowe, naczynia różne, wystawiała je przed domem, aby schły na słońcu. Zupełnie zatopiona w pracy, nie zwracała uwagi na męża, który stanął nad nią, rzekomo smutny, i przemówił głosem wyrzutu lekkiego:

— Oj kobieto, nawarzyłaś mi też dzisiaj piwa! Sam nie wiem, na czem się skończy.

— Cóż się stało? — spytała Maciejowa, nie spodziewając się, aby zajście jej z cielęciem mogło wywrzeć wpływ na losy męża.

— Wiesz ty, że mogę zostać bez kawałka chleba?—rzekł z przyciskiem, a potem dodał biadająco:

— Łaska pańska na pstrym koniu jeździ!

Włodarzowa, pochylona na klęczkach, domywała ceber, trąc go wiechciem z grochowin i piaskiem. Słowa Macieja przestraszyły ją, podniosła głowę i zawołała:

— Boże litościwy!

Kaczor mówił znowu z wyrzutem:

— Potrzebnieś ty złamała kij na cielęciu? Szczerze powiadam, wolałbym, żebyś była mnie zwaliła... Bo dziedzic zaraz się dowiedział, żeś jest moja, i powziął ku mnie zawziątek.

— Maciek, ty chyba umyślnie tak mówisz, żeby mnie zmartwić?

— Dużoby mi też przyszło z twojego zmartwienia!... Z panem takim niema żartów! W dodatku jeszcze, ta Jaga, małpa, nawinęła mu się na moje nieszczęście i ulubił ją sobie.

— Przecie Jagi nie zrobi włodarzem na folwarku.

— Gadanie! Skoro mu w oczy wpadła, obsypie łaskami ją i jej chłopa... Czy dziedzic nie jest mocen? Uważaj sobie, jak druga baba umie korzystać z najmniejszej rzeczy! Przy takiej i chłopu lżej na świecie.

— Nieszczęście moje! — zawołała kobieta ze wzruszeniem.—Prawdę świętą zawdy powtarzasz, żem głupia. Toć ja nietylko ci nie jestem pomocą, ale oto sprowadziłam jeszcze biedę ciężką na twą głowę.

— Po tylu latach służby w jednym dworze, ja, ty i te nasze makolągwy możemy zostać bez dachu — mówił Kaczor, pobudzając żonę do większej czułości.

Chwila milczenia. On chodził po izbie krokiem ciężkim, ona łzy roniła.

Naraz Weronika otarła oczy zapaską i rzekła:

— Stało się, mój mężu! Ludzie nietylko w Kamionce żyją i chleb jedzą. Jestem zdrowa, silna, pójdę w służbę, zarobię tyle, że wyżyjemy, a ty odpoczniesz.

— Ee, o co innego chodzi!—odparł włodarz z niechęcią. Przecie nie doszło jeszcze do tego, żebym z folwarku ustępował. Muszę się bronić, a tyś mi powinna pomagać.

— Jakto, więc ci dziedzic nie wypowiedział miejsca?—zapytała Maciejowa zdziwiona.

— Nie śmiałby tak znagła! On wie, że drugiego takiego, jak ja, nie wytrzęsie z rękawa.

— No, moi ludzie, a czegóżem ja się spłakała?

— Któż ci kazał płakać? Zwyczajnie po babsku!... Ja jej powiadam: wiszę oto na włosku, a ta kwiczy! Cóżeś ty—dziecko? Nie rozumiesz, żeś powinna wystąpić przy cielętach zawsze, ile razy zjeżdża dziedzic czy rządca? Przecie korona nie spadnie ci z głowy. Jutro cały dwór przybędzie na folwark: pokaż się w okólniku przy cielętach, pocałuj w rękę pana, panią, panięta, rządcę, uchwyć pod kolana, wyskocz!

Weronika zamyśliła się przez chwilę, poczem rzekła bardzo spokojnie:

— Takie udawanie jest przeciw mojemu sumieniu. Przeciem ja chrześcijanka i matka dzieciom.

— Ale sumienie nie przeszkadza ci do żarcia chleba, na który ja pracuję w pocie czoła, a znikąd nie mam poparcia najmniejszego. Po kiego dyabła ja się ożeniłem?

— Dawnoby mię tu nie było, gdybym czuła, że żona nie ma prawa jeść chleba w domu męża.

— Wiem ci ja, wiem, masz prawo jeść, pyskować, przyganiać, dogryzać mi na każdym kroku.

— Sumienie nie wyrzuca mi tego dogryzania. Któż ci powie prawdę, jeśli nie żona? Choćby i teraz,—mówiła, wpatrując się w sztukę złota, którą włodarz trzymał na pokaz w dwóch palcach — sprzedałeś, widzę, za dukata spowiedź wielkanocną!

— Stul gębę, bo trzasnę!—wrzasnął Kaczor i obrzucił babę wzrokiem nienawistnym.

Zmiarkowała, że mogło dojść do obrazy boskiej, czego chciała uniknąć po spowiedzi. Więc zmilkła, znowu uklękła i poczęła myć ceber. On chodził po izbie, klął, chrząkał, spluwał, koniecznie chciał wyprowadzić babę z cierpliwości, gdyż go dzisiaj ręka świerzbiała ogromnie. Maciejowa nie dała się skusić i w milczeniu robiła swoje. Nareszcie trzasnął drzwiami tak, że całe czworaki drgnęły.

W złości swojej miał się za większego jeszcze, niż zwykle. Szedł do cieląt i zdaleka widział Jagę, która pospiesznie uciekała z obory, gdzie włodarz zabronił jej bywać.

— Twoje szczęście, czarownico, żeś mi w garść nie wpadła!

Po drodze kury za nim pierzchały, z takim rozmachem zajadłym kroczył. Dzieci, posłyszawszy trzaśnięcie drzwiami, zmykały na tyły domu.

(DCN)

NADESŁANE.

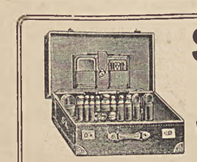
STANISŁAW KRAUSE i S-KA
FABRYKA I MAGAZYN
WSZELKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY
Warszawa, Królewska № 1 (róg Krakowsk.-Przedm.)
JEDYNA W KRAJU FABRYKA KUFRÓW TRZCINOWYCH.
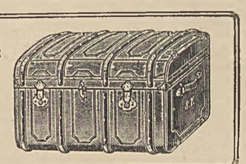

NAJWYTWORNIEJSZE PERFUMY BEZ SPIRYTUSU
2 KWIATU „KONWALJA"
F. PROCHASKA PRAGA.

„Konik"
Mydło z mleka liliowego
wytwarza różowy, młodociano-świeży wygląd, czystą, białą, jak jedwab miękką skórę oraz delikatną, olśniewająco-piękną cerę.
Dostać można wszędzie po 50 kop. za sztukę.
Głowny skład na Państwo Rossyjskie:
Biuro chemicznych preparatów St.-Petersburg, Newski 28, d. Singera.

MEBLE
ZAŁĘSKI i S-ka
Warszawa, Erywańska Nr 2,
parter, 1 i 2 piętro Telefon 16-39. Rok założ. 1870.

GABINET ŚWIATŁOLECZNICZY
D-ra ROBERTA BERNHARDTA
ordynatora szpitala św. Łazarza.
WARSZAWA, FOKSAL 15. TELEFON 14.54.
Leczenie chorób skóry i włosów promieniami Rentgena, Finsen-Kromayer'a, Radium i elektrolizą, Arsonvalizacya. Choroby weneryczne.

KSIĘGARNIA Fr. RACZKOWSKIEGO
LUBLIN, KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE 36,
przeszła na własność
GEBETHNERA i WOLFFA.

G. G. LARDELLI
Boduena 5. Nowy-Świat 27.
Poleca własnego wyrobu Kakao w proszku, Czekoladę Mleczną—Unique, Czekoladki Deserowe, oraz Wyroby Cukiernicze.

Sagap KALODONT
Niezbędny krem do zębów
Utrzymuje zęby biało, czysto i zdrowo.
Żądać wszędzie

J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI Krakowskie-Przedmieście Nr 19 dom własny

S. GLIŃSKI 41 Nowy-Świat 41 Poleca: Pastę „BON TON," Szuwaks, Smarowidło i Glazurę do obuwia, Pomadki, Proszki i Płyn „FENOMEN" do czyszczenia metali, Atramenty, Tusze, Gumę arabską, Oliwę do maszyn i t. p.

Dr JAN LATINIK
ordynuje od maja do października w KARLSBADZIE „Raphael".

FORTEPIANY, PIANINA, PIANOLE
ORGANY, MELODYKONY
GEBETHNER i WOLFF
Warszawa, Krak.-Przed. 12

LUDWIK SZUFA
KRAWIEC
KRAKOW TELEFON 671

Dr. JAN KIEŁKIEWICZ
Choroby dróg moczowych. Oświetlanie pęcherza i cewki dla celów dyagnostycznych i leczniczych, do 10 rano i od 5—7 p. p. Ul. NOWOGRODZKA 37.

ODPOWIEDZI
I RADY POUFNE DLA PAŃ.

Stasi z Częstochowy. Przez omyłkę wypuszczono dwa wiersze druku, gdzie było powiedziane: objaśnimy listownie po przysłaniu adresu.

Maryi B. Esencya Tataro-Chmielowa dlatego tak usilnie jest przez nas doradzaną, że zastępuje bezwarunkowo wszystkie drogie zagraniczne specyfiki; działanie jej zbawienne daje się uczuć już po pierwszem użyciu, a w ciągu tygodnia śladu z łupieżu nie zostanie.

F. Anieli. Krem D-ra Orgley żółte plamy zmyje, przyśpieszy działanie mydło *Ogórkowe Karpińskiego.* Mydło to może być używane również jako zwykłe, toaletowe, chociaż zawsze przekładamy nad nie *neutralne mydło*, tejże samej fabryki.

P. Gr. w Kielcach. Farba do włosów *Hennoline* tem się jeszcze wyróżnia z pomiędzy setek innych farb, że barwi stopniowo od jasno-blond aż do czarnego. Przed farbowaniem myć głowy nie potrzeba. Ciemne punkciki w okolicy nosa zmywa momentalnie *Pureol Dufour'a.* Zmarszczki na czole przy oczach i ustach usunie *Abarid.* Wszystkie te środki dostarczy *Paszkowski*, Marszałkowska 109.

Loli. Jeśli na brwiach są włosy, lecz tak jasne, że ich nie znać, można je pociemnić na stałe, bez malowania, płynem *Excelsior.* Płyn ten skóry nie barwi. Zwilżać codziennie rano po umyciu.

Do wszystkich. Listy z zapytaniami prosimy znaczyć na kopercie: Dla P. Mercédès.

Mercédès.

Lekarz dentysta STEFAN ŻYCZKOWSKI **NOWOGRODZKA № 26 Telefonu 167.49.**

E. UNIERZYSKI
CHMIELNA Nr 3.
poleca Skórzaną galanteryę i przybory podróżne.

Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcya
Ch. GEBER w Grochowie
Magazyny w Warszawie: Niecała Nr 9; Nowy-Świat Nr 49; Sienna Nr 2a; Leszno Nr 4; Długa Nr 19; Chłodna Nr 18; Dzika Nr 7; Praga Brukowa Nr 32. Filie: Łódź, Zielona Nr 5; Częstochowa, II Aleja Nr 34.

DLA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA"
mamy na składzie
Okładki ozdobne DO PÓŁROCZY „TYGODNIKA"
po rub. 1, z przesyłką i opakowaniem rub. 1.35.
piękne artystyczne teczki
do albumu „DUCH REWOLUCYONISTA" A. Kamińskiego
po rub. 2, z przesyłką i opakowaniem 2.60.
Do cyklu „BOŻY ROK" Piotra Stachiewicza
po rb. 1.50, z przesyłką i opakowaniem rb. 2.

Od Administracyi.

Agentury nasze: G. Gebethner i Spółka w Krakowie i S. Sokołowski we Lwowie posiadają na składzie resztę premium „Tygodnika Illustrowanego" z 1908 r., **album**

„Duch-Rewolucyonista" **Antoniego Kamieńskiego**

Cena albumu broszurowanego Kor. 5.— (rb. 2)
„ „ w ozdobnej oprawie „ 10.— (rb. 4)
Za przesyłkę pocztową albumu dopłaca się „ 1.— (kop. 60).

IDEALNY POKARM
dla niemowląt i dla dorosłych, dotkniętych chorobą żołądka.

SALON „ARS"
Kraków, ulica Św. Jana 1 (I piętro).
Nieustająca wystawa dzieł sztuki i sprzedaż obrazów najznakomitszych artystów polskich. Salon otwarty codziennie od 10 do 1 i od 2 do 5.

GABINET ŚWIATŁOLECZNICZY
D-ra Ludwika Chybczyńskiego
Warszawa, ul. SZOPENA 1. Telefon 132-92
Leczenie chorób skóry i włosów promieniami Roentgen'a, Kromayera, radium i elektrolizą. Choroby weneryczne.

HURTOWY I DETALICZNY SKŁAD SUKNA I KORTÓW
LEONA MESSINGA
MIODOWA № 7
poleca modne materyały krajowe i angielskie. Na prowincyę wysyła za zaliczeniem pocztowem.

KSIĘGARNIA
GEBETHNERA i WOLFFA
w Warszawie
poleca:
WYBÓR POEZYI
ARTURA OPPMANA (OR-OTA)
wydanie nowe, zmienione i powiększone, z portretem autora.
Cena rb. 1.50, w ozdob. opr. rb. 2.
Do nabycia we wszystkich księgarniach.

L. Lipiński { **Magazyn i Fabryka Wyrobów Jubilerskich** Tel. 75-12. **WIERZBOWA Nr 7 (plac Teatralny) w Warszawie,** } **Brylanty, kolorowe kamienie i perły oraz biżuterya złota i srebrna w najnowszych fasonach. Srebro stołowe, gładkie i stylowe.** Firma egz. od 1875.

Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ **BRONZY** SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE **Nr 15** Tel. 21.90

Michał Jasiński i S-ka w Warszawie, KRAK.-PRZEDM. 7 Tel. 18-32. Skład maszyn i potrzeb mleczarskich. Biuro techniczno-mleczarskie. Artykuły hodowlane, gniotowniki do owsa, żyta i jęczmienia. Szatkownice do jarzyn. Maszyny do bielenia i dezynfekcyi i t. p. Przedstawiciele firm: **Sveaseparatoru—Stokholm. Simona-Frères—Cherbourg, Chr. Hausen—Copenhaga** i t. d. Sprzedaż i zakup masła. Katalog bezpłatnie.

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materyałów rysunkowych, nadesłanych do redakcyi, nie zwraca się.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.